

# wiadomości kościkańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne

• cena 5 zł

• nr 12 (264)

• grudzień 2010



*Zdrowych i radosnych  
Świąt Bożego Narodzenia  
oraz  
pomyślnego Nowego Roku 2011  
Czytelniczkom i Czytelnikom  
życzą „Wiadomości Kościkańskie”*

Kaplica pobernardyńska w Kościanie.

Fot. Bogdan Ludowicz





Żłóbek w Śmiglu.

Fot. Bogdan Ludowicz

# Lulajże Jezuniu

*„Lulajże Jezuniu moja perelko  
Lulaj ulubione me pieścidelko  
Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj  
A ty go Matuniu w płaczu utulaj”*

To początek starej polskiej kolędy, spisany ze śpiewnika ks. Michała Marcina Mioduszelewskiego, zatytułowanego „Pastorałki i kolędy z melodyjami czyli piosnki wesołe ludu w czasie Świąt Bożego Narodzenia po domach śpiewane”, wydanego drukiem w Krakowie w 1843 r. Styl jakby współczesny, melodia znajoma, a autorzy nieznani. „Lulajże Jezuniu” pojawia się zresztą znacznie wcześniej w starych kancjonałach klasztornych w XVIII w.,

ale kolędę tę – być może – śpiewano w XVI wieku, tyle tylko, że w pierwotnej jej wersji zapewne z tekstem staropolskim. Pierwotnej wersji – niestety - nie znamy. Pierwszy zapis pochodzi z 1705 roku i znajduje się w Archiwum Archidiecezjalnym w Poznaniu. Tymczasem w badaniach niektórych historyków Kościoła pojawia się sugestia, że autorem kolędy jest nasz krajan, bernardyn Innocenty z Kościana

**Prawdę o  
„Fryderyku Chopinie”  
ujawnia  
kpt. Adam Kantorysiński  
(8-10)**

**Losy płk Jana Górskiego  
z Poznania przedstawia  
Teresa Masłowska  
(11-14)**

**Z regionalistą  
Mironem Ratajczakiem  
rozmawia Katarzyna Żurek  
(16-18)**

**Paryskimi śladami  
Adama Mickiewicza  
podąża Zdzisław Wojtczak  
(21-24)**

**O admirale  
Krzysztofie Arciszewskim  
mówi prof. dr hab.  
Maria Paradowska  
(30-32)**

**Nieznane epizody  
pierwszego roku wolności  
odkrywa Jerzy Zielonka  
(39-41)**

„Wiadomości Kościańskie”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Alicja Żurek (marketing i kolportaż). **Adres redakcji:** 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtyśiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

rodem. Postać to tyle wybitna, co zapomniana. Żył na przełomie XV i XVI wieku.

Urodził się około 1480, zmarł w 1541 roku. Jego biograf ks. Kamil Kantak, ceniony autor m.in. rzetelnego dzieła o polskich bernardynach, pisał tak:

„Studjów uniwersyteckich zapewne nie odbywał, nigdzie o nim nie słyszymy przynajmniej, a zazwyczaj zapisano taką okoliczność. Widocznie po ukończeniu szkoły miejskiej, wstąpił do zakonu w samym Kościanie i tam, ówczesnym obyczajem odbył nowicjat. Wykształcenie Innocentego świadczy pochlebnie o poziomie intelektualnym konwentu kościańskiego. Poznajemy je z pism jego, a te stoją na wysokości ówczesnej twórczości piśmienniczej. Nie powinno to zresztą zadziwiać; wiadomo, że ówcześni Bernardyni pochodzili w znacznej liczbie z kół uniwersyteckich”.

## O kościańskich bernardynach

Bernardyni (Zakon Braci Mniejszych) wyznają regułę św. Franciszka z Asyżu. Wchodzą w skład wielkiej rodziny franciszkańskiej i często nazywani są franciszkanami obserwantami. Dzięki fundacji mieszczan zjawili się w Kościanie w 1455 roku, w tym samym czasie co w Poznaniu i we Wschowie. Rok później, co odnotowała dr Krystyna Górka Gołaska, „burmistrz i rajcy w imieniu całej gminy miejskiej dają braciom św. Franciszka obserwantom ku czci Najświętszej Maryi Panny oraz świętych Franciszka i Bernardyna ze Sieny plac za murami miasta Kościana, na którym znajduje się strzelnica przy szerokiej drodze do Głogowa, naprzeciw cegielni, oraz 2 ogrody z 2 domkami leżące naprzeciw strzelnicy od strony wschodniej, w celu wybudowania kościoła Najświętszej Maryi Panny od Aniołów i domu odpowiedniego na mieszkanie dla zakonników”. Była to druga miejska fundacja klasztorna, bowiem w Kościanie działali już dominikanie, których 600 – lecie osiedlenia się obchodzimy w 2010

roku. Godzi się jeszcze dodać, że obecnie pobernardyńskie tereny zajmuje Wojewódzki Szpital Neuropsychiatryczny im. dra Oskara Bielawskiego.

W każdym razie bernardyni polscy znaleźli nad Obrą dobry klimat - lubiani przez mieszczan i okoliczną szlachtę tak, że w krótkim czasie udało im się zbudować i kościół, i klasztor, a także osiedlić ponad 20 zakonników. A byli to – podobnie jak dominikanie – ludzie o wielkiej wiedzy. Wspomniany już Innocenty miał się od kogo uczyć i na kim wzorować. Ks. Kamil Kantak w oparciu o zachowane nekrologi klasztorne stwierdził:

„Z pośród zmarłych w Kościanie przed r. 1515 zakonników jako znakomitszych możemy wymienić kaznodziejów: Łukasza, już świętobliwego jako księdza świeckiego; Ryszarda, mistrz sztuk wyzwolonych; i Mikołaja z Wrocławia, niemieckiego; dalej Marka z Ponieca, co przepisał wiele ksiąg i Marjana z Szamotuł, co jeszcze za życia uchodził za cudotwórcę. Może jeden lub drugi z nich był mistrzem Innocentego”.

## Sam Innocenty

Nie ulega wątpliwości, że Innocenty poznał dobrze języki obce m.in. łacinę, włoski i niemiecki; że szybko nauczył się władać piórem, bo jeszcze przed 1520 rokiem napisał podręcznik do kształcenia bernardyńskich nowicjuszy. W tamtym też roku – 10 sierpnia - brał udział w obradach kapituły w Krakowie, w których uczestniczył generał całego zakonu franciszkańskiego Franciszek Lichet, a stamtąd powrócił jako gwardian czyli przełożony kościańskiego klasztoru. Był później gwardianem w Warszawie i Poznaniu, jako prowincjał – przełożony całej prowincji bernardyńskiej - jeździł na obrady kapituły generalnej do Nicei i Mantui. Wszędzie kupował i zwoził do Kościana „uczone księgi”, dzięki czemu do dzisiaj uważany jest za dobroczyńcę zachowanych księgozbiorów klasztornych.

Historiografowie podkreślają, że do końca życia był szczególnie związany z miastem rodzinnym. W październiku 1540 r., po powrocie z Włoch, przyjechał do Kościana i przywiózł zakupione - m.in. w Wied-

niu – księgi. Tutaj zachorował (jak kroniki podają „na febrę”), kazał się wieźć do „doktorów” do Poznania. Tam zmarł 27 grudnia i tam został pochowany, a „zgon jego powszechnie opłakiwano”. Wychodzi na to, że niebawem przypada 470 rocznica jego śmierci.

## Hej kolęda, kolęda...

Tezę, że Innocenty z Kościana jest autorem kolędy „Lulajże Jezuniu” przypomniał ks. Kamil Kantak. Wychodził z założenia, że musiała ona wyjść spod pióra wyznawcy reguły św. Franciszka z Asyżu, bo właśnie franciszkanom zawdzięczamy tradycję żłóbka i olbrzymi kult narodzonego Dzieciątka. Na dodatek brał pod uwagę, że pierwszy zapis kolędy zachował się w Poznaniu oraz fakt, że kronikarze odnotowali, iż Innocenty „pozostawił po sobie tom kazań, który zaginął, Manuale (podręcznik dla nowicjuszy) i Nekrolog (spis zgonów bernardynów), które posiadamy oraz ułożył nabożną pieśń na żłóbek Chrystusa narodzonego wymienionym stylem, którą jeszcze do dziś zwykło się śpiewać”.

## Ks. Kantak napisał:

„Najpopularniejsza kolenda bernardyńska tego rodzaju była pieśń „Lulajże Jezuniu”. Śpiewano ją powszechnie w XVIII w., z którego to czasu pochodzi redakcja zapisku, wśród ceremonii kołysania bogato ozdobionej kolebki po klasztorach. Czyżbyśmy w Innocentym mogli upatrywać autora tej pieśni? Gdyby tak było, należałoby mu przyznać niepospolity talent poetycki. Coprawda język i forma pieśni tej nie wygląda nam na czasy przerejowskie. Jakkolwiek bądź widzimy, że Innocenty kontynuuje tradycję pieśni bernardyńskiej”.

Sprawa ma się dokładnie tak jak z kolędą „W żłobie leży”. Tradycja krakowska przypisała ją jezuitom, wybitnemu kaznodziei, pierwszemu rektorowi Uniwersytetu Wileńskiego Piotrowi Skardze. Tak więc według tradycji wielkopolskiej „Lulajże Jezuniu” ułożył Innocenty z Kościana.

JERZY ZIELONKA

# Boże Narodzenie w naszym domu

**N**a wstępie pragnę zaзначyć, że miałem aż dziewięcioro rodzeństwa i to mocno różnicowanego pod względem wieku. Troje najstarszych mieszkało w Poznaniu i chodziło tam do szkół. W Czaczu było czworo średniaków, nawet pięcioro, gdyż z nami wychowywała się nasza cioteczna siostra Aniela Brzozowska. Wreszcie były dwie najmłodsze siostrzyczki. Rodzice chcieli jak najdłużej mieć nas przy sobie i trzymali nas w Czaczu. Po wielu latach pozostała mi w głowie tylko ogólna atmosfera z tych lat oraz poszczególne sytuacje.

Przygotowania do Świąt Bożego Narodzenia zaczynało się bardzo wcześnie, myślę, że już w drugiej połowie listopada uczyliśmy się śpiewu kolęd. To było przyjemne i nie wymagało wysiłku, bo dziecko szybko chłonie to, co nowe. Pracowaliśmy również z zapałem nad wyrobem ozdób na choinkę. Nie kupowało się żadnych błyskotek, bombek, świecidełek; wszystko było naszej roboty, prócz świec i ich metalowych oprawek. Główna praca szła w kierunku łańcuszków z kolorowego papieru, lecz robiliśmy różne ich rodzaje i w rozmaitych kolorach. Kiedyś ktoś przyjezdny zachęcił nas do wydmuchiwania jajek i malowania skorupek w różne wzory. Wszystko to, co robiliśmy, było kruche z konieczności, toteż przy rozbiórce choinki wiele łańcuszków się rozrywało. Przechowywano jednak zapas ozdób z poprzednich lat, co wystarczało w końcu na przystrojenie nawet bardzo wysokich choinek.

Adwent wreszcie się kończył i nadchodził oczekiwany wieczór wigilijny. W chwili pokazania się pierwszych gwiazd zśliśmy się umyć, uczesać i przebrać w odświętne ubranka. Wcześniej niż zwykle zbieraliśmy się w stołowym pokoju. Uderzały nas od razu zaszle zmiany. W kącie stojący snop zboża z kłosami, stół nakryty czystym obrusem, pod którym znajdowało się trochę siana. Na talerzach w paru miejscach rozłożono opłatki. Po kolei ukazywali się zaproszeni goście: prowadzony przez Rodziców

Ksiądz Dziekan Józef Marciniak, proboszcz Czackiej parafii; administrator majątku inż. Stanisław Maciołowski. Przy zwykłych miejscach stawały nauczycielki i niania z najmłodszymi siostrami.

Oboje Rodzice ubrani odświętnie, nasz Ojciec skupiony i poważny, nieco wzruszony. Pochodziło to z faktu, że miał smutne dzieciństwo, gdyż wcześniej stracił oboje rodziców. Wychowywał go surowo żyjący Dziadek, a ciepło rodzinne znajdował jedynie w Chołoniowie na Wołyniu, u rodziców i braci swojej matki.

Ksiądz Dziekan odczytywał fragment Ewangelii, po czym błogosławił stół. Wtedy nasz Ojciec brał długi kawał opłatka i zaczynał dzielenie się nim, rozpoczynając od zaproszonych osób i przechodząc stopniowo do nauczycielek, dzieci i osób podających wieczerzę. Dla nas, dzieci, fakt tego dzielenia się opłatkiem wszystkich ze wszystkimi był czymś tak niezwykłym, że nie starczało ani czasu ani uwagi na przyglądanie się temu, co robią inni. Na wszystkich twarzach widziało się nastrój świąteczny i wzruszenie.

Wreszcie zasiadaliśmy do stołu. Rodzice, jak zawsze, naprzeciw siebie, po prawej stronie mojej Matki Ksiądz Dziekan, po drugiej administrator. Podawano zupę, a raczej dwie zupy: grzybową z kluseczkami i barszcz z uszkami. Potem ukazywała się druga potrawa, rzadko u nas widziana - ryba. Dawniej był to szczupak, nieraz ładny i długi, złożony świeżo w Kanałach Obrzańskich, w późniejszych latach pojawił się karp pochodzący ze stawów rybnych w Lasach Lubartowskich w Lubelskiem. Wszystkim, nawet dzieciom nalewano kieliszek białego wina.

Nadchodził jednak moment, kiedy kolacja się kończyła i pełni niecierpliwości wędrowaliśmy do Starej Biblioteki, gdzie nasza Matka trzymała w szafach lżejszą literaturę młodzieżową, powieści dla domowników i na potrzeby wsi. Pokój ten w ostatnich dniach był zamknięty na klucz, gdyż tam właśnie stała choinka. Nigdy nie wiedzieliśmy, kto ją ustrajał we wszystkie ozdoby i umocowywał świece na gałęziach. Teraz nagle „Boże Drzewko” ukazało się w pełni światła płonących świeczek, a pod nim leżały prezenty, starannie zapakowane w pa-

pier, z napisami naszych imion. Następował śpiew kolęd. Była to bardzo piękna i radosna chwila. Po jej zakończeniu przystępowaliśmy do odnajdywania naszych prezentów. Za każdym razem przeżywaliśmy to bardzo, gdyż nie byliśmy psuci podarkami. Podziwiam intuicję mojej Matki, która zgadywała nasze pragnienia i umiała doskonale dostosować do nich prezenty. Nikt nie miał czasu myśleć o tym, co otrzymali inni, tylko o tym, co jemu przypadło w udziale. Do dziś dnia pamiętam mój zachwyt nad narzędziami stolarskimi, to znów nad pędzlami i farbami akwarelowymi, kiedyś dostałem mały aparat fotograficzny, od którego zaczęła się moja pasja do fotografii.

Szczególnie wiele zawdzięczałem doborowi książek. Raz był to *Koń Bohdana*. Dyakowskiego, znakomita lektura ukazująca konia w Polsce od najdawniejszych czasów, a więc na wsi przy uprawie roli, w życiu rycerzy, w obronie Kraju. Innym razem był to *Nasz las* tegoż autora, który dzielił się z młodocianym czytelnikiem swoją znajomością przyrody i życia zwierząt w naszych puszczech i lasach. Nigdy nie dostawaliśmy elektrycznych kolejek, samochodzików, traktorów, raz natomiast znalazłem pod choinką niewielki stalowy łuk zagranicznej produkcji, lepszy od wszystkich, które sam robiłem z drewna. Przez parę lat nie rozstawałem się z nim.

Uradowani prezentami i przeżyta uroczystością zśliśmy spać. Nie wprowadzono nas na pasterkę, gdyż kościół parafialny był strasznie zimny. W tamtym czasie o ogrzewaniu nikt nawet nie myślał, mam natomiast w pamięci gromadę dzieci z parafii stojących pod balaskami i miarowo, cicho tupiących nogami przez cały czas trwania nabożeństwa. Dopiero po latach parafia zdobyła się na uplecenie i zeszyt z powrośel wielkiej słomianki pokrywającej posadzkę w prezbiterium. Odtąd już nie było tupania. W niedzielę jednak chodziliśmy zawsze do kościoła, pamiętającego jeszcze czasy rodu Czackich.

**MICHAŁ ŻÓLTOWSKI Z LASEK**

Wydrukowano za zgodą siostry śp. Autora Zofii Żółtowskiej z Brukseli i redakcji „Kwartalnika Rodu Żółtowskich”, Piaseczno, grudzień 2004 r.



## Boże Narodzenie w Kościanie w 1930 roku

Powoli dobiega końca dziesiąty rok nowego tysiąclecia. Czas nieubłaganie ucieka. Krótkie, smutne jesienne i zimowe wieczory skłaniają do refleksji nad minionymi wydarzeniami kończącego się roku. Nadziei i radości oczekujemy – jak zawsze – w zbliżających się świętach Bożego Narodzenia. 80 lat temu na łamach „Gazety Polskiej” ukazywały się artykuły nawiązujące do zbliżających się świąt, a także liczne ogłoszenia i reklamy, które zachęcały do przedświątecznych zakupów. Warto zwrócić dzisiaj uwagę na barwność takich oto reklam:

*Jedną radę państwu głoszę  
Darmo po co bliźnich łupić  
Chcesz mieć świąteczne rozkosze,  
Do Makowskiego idź kupić!  
Gospodynie Matki  
Nie zwlekajcie z kupnem podarków dla  
rodzin waszych  
Proszę przyjść po  
Praktyczne Podarki Gwiazdkowe  
Do znanej firmy  
F. Makowski, Kościan  
W niedzielę dnia 21.12.1930 r.  
Skład otwarty  
Artykuły męskie, chłopięce, futrzane  
czapki,  
Kapelusze, pończochy, krawaty, rękawiczki,  
Szale, skarpety itd., id.  
!!! Wejdziesz i kup, a nie pożałujesz !!!  
albo  
Bombonierki  
Konfekt – Marcypan – Czekolady  
Cukry z pierwszorzędných firm krajowych  
Pierniki – Biszkopty – Wafle  
Gwiazdki – Figielki czekoladowe  
Ozdoby choinkowe  
Kakao  
Towar stale świeży, poleca uprzejmie  
Zofia Kopeciówna  
Specjalny skład cukrów i czekolady  
Kościan, ul. Wrocławska 16*

I kolejne:

*Kto jeszcze nie zwiedził „Bazaru Harcerskiego” przy ulicy Wrocławskiej (Dom p. Łopatki), niechaj czemprędzej to uczyni. Można tam nabyć praktyczne, a śliczne podarki gwiazdkowe, wykonane całkowicie przez harcerki kościańskie.*

Mieszkańców miasta informowano o różnych imprezach i uroczystościach związanych ze świętami.

„W piątek 19 b.m. o godz. 6-ej wieczorem odbędą się w auli szkoły powszechnej „Jasełka”. Po skończonym przedstawieniu przy choince i śpiewie kolęd nastąpi rozdanie podarków gwiazdkowych biednym uczniom szkoły powszechnej żeńskiej”.

„Uroczysty obchód gwiazdkowy urzęda w niedzielę 21 b.m. o godz. 4 i pół Tow. Terminatorów, na który W.P. mistrzów i opiekunów uprzejmie zaprasza Patronat i Zarząd”.

„Tow. Gimnastyczne „Sokół” w Kościanie gromada żeńskiego urzęda w sobotę 27 b.m. o godzinie 8 wieczorem w Sokolni uroczystość łamania opłatkiem połączoną z uczczeniem 12 rocznicy Powst. Włkp. Program bardzo urozmaicony”.

„Rozrywką duchową stanie się dla każdego „Wieczór Moniuszkowski”, który urzęda w 2 święto Bożego Narodzenia chór męski „Arion”. Największą atrakcją wieczoru będzie wystawienie niewidzianej i nieznanej w Kościanie opery p.t. „Flis”.

Redakcja gazety przybliżyła czytelnikom zwyczaj świąteczne:

„Zapowiedzi wigilijnego święta stanowiły od dawien dawna opłatki. Wypiekano je przy kościołach i klasztorach, lejąc bardzo rzadkie ciasto pszenne w żelazne foremki, odznaczające się nieraz artyzmem i subtelnością rysunku, rzniętego w metalu na ich ściankach. Przybycie organisty lub zakonnika było zawsze radosnym wydarzeniem. Zapowiadało ono koniec smutnego Adwentu i wesołe święta Bożego Narodzenia. Za dawnych czasów surowo przestrzegano by w dzień wigilijny jeść tylko jeden raz na dzień po wejściu pierwszej gwiazdy. Od rana już trawiono czas na przygotowania do tego wieczornego posiłku, zwanego postnikiem lub pośnikiem. Obyczaj uświęcania uroczystości religijnych ucztą jest bardzo stary i sięga czasów pogańskich. Być może nasza chrześcijańska wigilia łączy tradycję z jakimś świętem pogańskim.”

W numerze świątecznym ukazał się artykuł redakcyjny, w którym pisano m.in.:

*„A najbiedniejszy – to ci, którzy nie mają rodzin, nie mają z kim podzielić się swoją radością, to ci, których zły los rzucił daleko od ziem ojczystych. Z pojęciem święta Bożego Narodzenia łączy się u każdego Polaka wspomnienie domu rodzinnego i tych miejsc, które były świadkami najszczęśliwszych dni życia każdego człowieka – chłopięcych i młodzieńczych lat.”*

Po świętach informowano, że „Święta Bożego Narodzenia minęły w Kościanie przy

*pięknej pogodzie. Pasterka w Kościańskiej farze odbyła się jak zwykle o godz. 12 w nocy. Z chóru popłynęły w cichą noc piękne nasze kolędy, to skoczne, to poważne a rzewne, aż przeniknęły do serca i przypomniały starszym lata młodości, w których dziecko przeżywa najweselsze chwile w swoim życiu. Wprawną ręką dyrygenta p. S. Wojciechowskiego Chór Kościelny im. J. Surzyńskiego wykonywał prawdziwe koncerty religijne”.*

Zgodnie już z tradycją warto przypomnieć z czego śmiali się wówczas nasi przodkowie:

Na ringu

Jeden z widzów na meczu bokserskim promienieje z radości

- Boks jest cudownym sportem!

- Pan też jest bokserem?

Nie dentystą.

Złota myśl

Kobieta jest jak kołnierzyk. Dopiero kiedy ma się ją na karku wie się, co to za numer.

W sądzie

- Podaśny, jesteś człowiekiem zupełnie zepsutym. Musiałeś obracać się w złym towarzystwie.

- Panie sędzio od 18 lat tylko z sędziami mam ciągle do czynienia.

Przygoda morska

- Dziwne są te fale morskie! Ledwo można wiosłować.

W sądzie

Sędzia: Dlaczego hultaju wlałeś do cudzego mieszkania przez okno?

Złodziej: Bom się proszę sędziego zaga-pił i wytrychów ze sobą nie wziętem.

Pewny środek

- Panie Pantofelki, dlaczego pańska żona zaczęła nagle jeździć konno?

- Ktoś jej powiedział, że jazda konna jest doskonałym środkiem odchudzającym.

- I naprawdę pomaga?

- Jeszcze jak. Spójrz pan na tego biednego konia. Skóra i kości zeń zostały, odka-d moja baba codziennie na nim jeździ.

Nie nadaje się do przechowania

Turysta do wieśniaka: Cóż to za uroczyste zakątek? Jak miło być musi tu mieszkać.

Wieśniak: Chciałoby się panu 2 mile latać po głupi kieliszek wódki?

Turysta: No przecież można sobie kupić butelkę na zapas i przechować.

Wieśniak: Wódka nie nadaje się do przechowania.

JAN PAWICKI



Wspólne zdjęcie pamiątkowe.

Fot. Bogdan Ludowicz

## Nagrody wręczono w Soplicowie

**Sześć osób dołączyło w czwartek do grona laureatów nagród „Za Nieprzeciętność” przyznawanych przez redakcję „Wiadomości Kościańskich”. Wyróżnienia dla osób, które odcisnęły swoje piętno na Ziemi Kościańskiej, wręczono już po raz dwudziesty. Po raz siedemnasty przyznano wyróżnienie za działalność samorządową „Dobry Gospodarz”. Uroczystość wręczenia nagród „Wiadomości Kościańskich” odbyła się w Skansenie Filmowym Soplicowo w Cichowie.**

- Przez dwadzieścia lat nagrody przyznano kilkudziesięciu osobom różnych zawodów. Wszystkie łączyła jedna rzecz – były nieprzeciętne w tym, co robią. Nawet jeśli to była ich praca zawodowa, robiły to inaczej. W pracę wkładały pasję. Każdy z laureatów tej nagrody odcisnął swoje piętno na Ziemi Kościańskiej w życiu społecznym, kulturalnym, czy gospodarczym – podkreślił prowadzący uroczystość red. Paweł Sałacki. - Kiedy przejrzelśmy tę listę z dwudziestu lat, okazało się, że nie ma ani jednej chybionej nagrody. One zawsze były przyznawane za coś wyjątkowego, ważnego i niepowtarzalnego.

W tym roku redakcja „Wiadomości Kościańskich” nagrodą „Za Nieprzeciętność” uhonorowała sześć osób. „Za pionierskie inicjatywy samorządowe” pośmiertnie nagrodzono Józefa Jurgę. Ten długoletni radny, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Kościanie w latach 1984 – 1990 - po-

przedzających zmiany systemu politycznego, podjął wiele inicjatyw twórczych. Był organizatorem Kościańskich Koncertów Noworocznych. Jako jeden z pierwszych w Polsce nawiązał kontakty z Zachodem – z miastem w Republice Federalnej Niemiec. Zabiegał o renowację miejsc pamięci narodowej. Z jego inicjatywy stworzono Nagrodę Twórczą Miasta Kościana. Współtworzył „Wiadomości Kościańskie”. Nagrodę odebrała jego żona Maria Jurga.

Wyróżnienie „Za mikrofon” otrzymał dziennikarz radiowy, długoletni prezes zarządu i redaktor naczelny regionalnej rozgłośni Polskiego Radia – Radio „Mercury” w Poznaniu – red. Piotr Frydryszek. Oprócz pracy zawodowej angażuje się w działalność charytatywną. Jest prezesem Stowarzyszenia Serce dla Serca, przewodniczącym Rady Fundacji Chórów Stuligrosa i członkiem komisji rewizyjnej Fundacji Hospicjum Domowe w Poznaniu.

- Każda nagroda cieszy, a szczególnie cieszy, taka która pochodzi z zewnątrz, bo

we własnym środowisku łatwo być zauważonym – mówił dziękując za wyróżnienie Piotr Frydryszek. - Chciałbym zwrócić uwagę, że dużą zasługę w tym, że państwo moją osobę nagradzacie ma redaktor Jacek Marciniak, który z tej ziemi różne rzeczy wyciąga i przekazuje Wielkopolanom.

Barbara i Eugeniusz Kusek odebrali nagrodę „Za przedsiębiorczość”. Są właścicielami firmy „Hotel Pod Kaczorem” w Piotrowie Pierwszym i Przedsiębiorstwa Gastronomiczno-Hotelarskiego „Art-Gastro” Kusek i Bartoszak. To wielokrotni laureaci konkursów kulinarnych organizowanych przez Urząd Wojewódzki w Poznaniu. Otrzymali Certyfikat Grand Prix Wielkopolski w kategorii hotelarsko-gastronomicznej w latach 2006, 2007 i 2008. Prowadzone przez nich placówki specjalizują się w tradycyjnej kuchni polskiej.

„Za inicjatywy edytorskie” nagrodzono red. Hannę Hubaj-Ludowicz – znawczynię hodowli psów, członkinię Związku Kynologicznego w Polsce, asystenta sędziego eksterieru wyźłów i sędziego pracy psów myśliwskich. Laureatka przez wiele lat była redaktorem naczelnym pisma „Psy myśliwskie”. Jest wydawcą i redaktorem książki o tematyce kynologicznej.

„Za wybitne inicjatywy lokal-

ne” nagrodzono proboszcza parafii w Bielewie, dziekana dekanatu krzywińskiego ks. Tadeusza Maćkowiaka. Duchowny jest twórcą parafii, organizatorem życia wspólnoty wiernych i miłośnikiem sztuki sakralnej. Organizuje m.in. pielgrzymki parafialne do Rzymu, Fatimy i Medjugorie. Z jego inicjatywy wybudowano kościół w Bielewie i kaplicę w Stankowie.

- To na pięćdziesięciolecie mojej działalności pisarskiej związanej w Kościąnem. W 1960 roku ukazała się pierwsza publikacja – podkreślił prof. Zbigniew Wielgosz, laureat nagrody „Za regionalizm”. Mieszkańcom powiatu profesor znany jest jako wybitny znawca dziejów klasztoru benedyktynów w Lubiniu i Ziemi Kościańskiej. W 1985 r. został uhonorowany Nagrodą Twórczą Miasta Kościana, a w 1999 Nagrodą Twórczą Miasta i Gminy Krzywiń.

Nieprzeciętni otrzymali statuetki z brązu przedstawiające tytułową stronę „Wiadomości Kościańskich” autorstwa artysty Michała Gołąbka. Na „Dobrego Gospodarza” czekała natomiast rzeźba w drewnie, która wyszła spod dłuta autorstwa Mariana Malińskiego. Siedemnastym laureatem tej nagrody za działalność samorządową został Jan Nowicki, od 32 lat sołtys Trzcinica w gminie Wielichowo.

- Dzięki jego staraniom do wsi doprowadzono gaz, wodę, zmodernizowano drogi, pobudowano chodniki, wyposażono świetlicę wiejską – wyliczał osiągnięcia gospodarza sołtysa Paweł Sałacki.

- Jesteście wspaniali, dokonaliście wielkich spraw – gratulował wyróżnionym w imieniu swoim i wódcy gmin powiatu kościańskiego starosta Andrzej Jęcz. - To nie jest nagroda za jedną czynność, dzieło, ale za całą waszą działalność. Cieszę się ogromnie, że wśród wyróżnionych jest osoba, która już od nas odeszła – świętej pamięci Józef Jurga. To osoba wielce szanowana, zacna, którą pamiętamy.

Redaktor naczelny „Wiadomości Kościańskich” Jerzy Wizerkaniuk podkreślił, że laureatów nagrody „Za Nieprzeciętność” jest już 81. Obok tych indywidualnych, były także zbiorowe. 17 osób otrzymało wyróżnienie „Dobry Gospodarz”. Chwilą ciszy uczestnicy uroczystości uczcili pamięć tych Nieprzeciętnych, którzy od nas odeszli. (h)

Kilka lat temu na naszych łamach zamieściliśmy fragmenty dziennika Jolanty Modelskiej z Piotrowa Drugiego (*Z Piotrowa na Karaiby*, WK 2003 r.). Związana ze Szkołą pod Żaglami J. Modelska jako dyrektor Szkoły brała udział w niedawnym pechowym rejsie Fryderyka Chopina, zakończonym odholowaniem go do portu, gdzie czeka na remont połamanych masztów. W pierwszych dniach listopada cała Polska z niepokojem śledziła losy żaglowca i jego młodzieżowej załogi. Czytelnikom zainteresowanym kulisami tego co stało się na Fryderyku Chopinie przedstawiamy artykuł Adama Kantorysińskiego, wieloletniego (od 1998 do 2006 r.) kapitana tego statku, człowieka znającego jak nikt Chopina a jednocześnie entuzjasty idei szkół pod żaglami. Doświadczenia kpt. Kantorysińskiego to nie tylko dowodzenie statkiem ale i kierowanie młodzieżową załogą w ramach wielu rejsów Szkół pod Żaglami, których był inicjatorem i współorganizatorem.

## PRYZYSTANEK W FALMOUTH? -Myjemy, czy robimy nowe?

„Fryderyk Chopin” stoi w porcie, angielscy stoczniovcy oczyszczają pokład i kadłub z elementów zmasakrowanych podczas wypadku, młodzież która przez pewien czas cieszyła się gościnną kornwalijskich gospodarzy wróciła już do domu. W międzyczasie przez szereg dni padały z ekranu telewizora przeróżne komentarze i opinie; uprawnione i nieuprawnione. Powstał zamęt informacyjny. Ale ten zamęt oraz dziwne opinie i zapewnienia prowadzą już teraz w właściwie w jednym kierunku – szybko posklejać, podmalować i płynąć dalej bo tak chce młodzież i ku mojemu zdziwieniu również rodzice.

W pierwszych chwilach po zdarzeniu nie było wiadomo właściwie nic i dlatego przede wszystkim należało uspokoić rodziców. Z tego właśnie powodu kapitan zapewniał, że nikomu się nic nie stało i wszyscy są bezpieczni. Sam wypowiedziałem się na antenie TVP że uważam statek za dobrze przygotowany i pewnie wystąpiła jakaś „siła wyższa” chociaż wcale tak nie uważałem. Wtedy tak było trzeba aby nikogo nadmiernie nie niepokoić gdy się nie ma na nic wpływu. Ale teraz już czas aby pomyśleć o ewentualnych przyczynach.

### Szkoła

Przed wszystkim należy wyjaśnić co tam właściwie robiła ta młodzież na niedużym żaglowcu w niespokojnej porze roku na trudnym akwenie. Czy to jakiś pomysł szaleńca realizowany za pieniądze podatników jak zapewne wielu sobie pomyśli? Otóż z całą odpowiedzial-

nością chcę powiedzieć że na pewno nie. Idea wychowywania młodzieży w trudnych warunkach na żaglowcu nie jest nowa i nie urodziła się w żadnej szalonej polskiej głowie. Według mojej wiedzy pierwszym, który uważał że to są właśnie doskonałe warunki aby wychować zahartowaną, odpowiedzialną i społecznie nastawioną młodzież był australijski kapitan Alan Villiers. W latach trzydziestych XX wieku na niedużym żaglowcu który nabył właśnie w tym celu przeprowadził rejs dookoła świata z młodzieżą w wieku 16-20 lat. Eksperyment powiódł się znakomicie, ale na kontynuację zabrakło pieniędzy. W tym samym niemal czasie w Polsce generał Mariusz Żarski robił to samo na Bałtyku pod harcerską banderą „Zawiszy Czarnego”. Po II wojnie światowej było to modne na atlantyckim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych i Kanady, a w Polsce Adam Jaser wykorzystywał w tym celu „Henryka Rutkowskiego”. Pływały i pływają młodzieżowe załogi pod banderą brytyjską, kanadyjską, niemiecką; sam spotkałem kiedyś w Horcie na Wyspach Azorskich duński szkuner obsadzony młodzieżą tzw trudną z domów poprawczych. Krzysztof Baranowski mając dużo większe możliwości niż Adam Jaser doprowadził do budowy „Pogorii”, a potem „Fryderyka Chopina”. Od tej pory i my mogliśmy wyprowadzić naszą młodzież na oceany. Nie wiem czy ktoś liczył ile dziewcząt i chłopców przeszło przez pokłady naszych żaglowców przez wiele lat. Takie możliwości wychowania są trudne do



przecenienia. Naprawdę warto to robić, a jak na razie żaden podatnik nie dopłacił do tego ani złotówki. Pracowałem na Chopinie od 1998 do czerwca 2006 roku. W tym czasie odbyło się 10 Szkół Pod Żaglami przeważnie na trasie Bałtyk-Małe Antyle i z powrotem. Siedem z nich sam przeprowadziłem i widziałem jak świetne efekty daje takie wychowanie. Jestem jak najdalej od deprecjacji tej wspaniałej idei. I moje serce jest po stronie młodzieży z pełnym zrozumieniem ich chęci i zafascynowania tak dziwnym i jednocześnie trudnym światem w którym przyszło im spędzić trochę czasu. Oni już zobaczyli kawałek tego wspaniałego świata na pokładzie i pod żaglami. Ale jakaś duża jego część /a może powinienem mieć dwa serca?/ jest wciąż związana ze statkiem, na którym przepłynąłem szczęśliwie prawie 200 tys. mil, czyli około dziewięciokrotną długość równika z okążeniem Przylądka Horn włącznie.

### Statek

A ze statkiem nie jest najlepiej. Rejsy z młodzieżą nie są dochodowe, a z innej działalności można było z trudem pokryć wydatki na bieżącą eksploatację. Na renowację i wymianę starzejących się z czasem elementów brakowało pieniędzy. I może nic wielkiego się nie stanie jeśli nie kupi się nowej zastawy stołowej, ale to co jest w maszynowni oraz wszystko nad pokładem ma bezpośredni związek z bezpieczeństwem statku, a więc i ludzi. Teraz zwaliły się maszty. Warto zdać sobie sprawę, że maszty na żaglowcu nie stoją z przyzwyczajenia. Stoją, bo są trzymane przez szereg lin stalowych zamocowanych na bokach oraz do przodu i do tyłu. Te liny stalowe trzymające przedni maszt z przodu zamocowane są do takiego mniejszego masztu, prawie poziomego na dziobie zwanego bukszprytem, a ten poprzez kolejne liny i łańcuchy związany jest z kadłubem. Tworzy to cały skomplikowany system, w którym każdy element jest tak samo ważny i działa skutecznie tylko wtedy, gdy wszystkie jego elementy są wystarczająco mocne. Brak jakiegokolwiek z nich powoduje, iż taki sam nacisk pochodzący od wiatru poprzez żagle musi być zrównoważony przez pozostałe. Kolejny nieco słabszy element spowodować może efekt domina. Tak się stało w przypadku Chopina. Nie wiadomo chyba jeszcze co było tym pierwszym słabszym ogniwem, a może

nie będzie wiadomo nigdy, ale w tym przypadku twierdzenie że spowodowała to „siła wyższa” nie wytrzymuje krytyki. Może też być jeszcze teza o tzw „wadzie ukrytej”, ale nie wszystko co nie jest widoczne może być za taką uznane. Nie będzie wadą ukrytą coś, czego zmniejszoną wytrzymałość można podejrzewać.

Nawet takie same liny mają różną wytrzymałość zależnie od miejsca zamocowania i funkcji jaką spełniają. Pierwsze liny trzymające maszt od strony bukszprytu zaczęły pękać w roku 2000 podczas mojego rejsu z Karaibów do Polski. Przeżyliśmy wtedy na Atlantyku dwa ciężkie sztormy o sile 11 st. W skali Beauforta. Po powrocie wymieniono wtedy tylko dwie, które zaczęły pękać chociaż w moim odczuciu należało wymienić wszystkie; przecież pracowały podobnie. Określiłbym czas w jakim te liny są wystarczająco mocne na ok. 6-7 lat,



ale te niewymienione wówczas były aż do chwili wypadku. W roku 2002 zerwała się jedna z lin bocznych więc wymieniliśmy ją, ale następnego roku pękła kolejna. To znaczy, że pewna żywotność tych lin wynosi ok. 9 lat. Wtedy postanowiłem sukcesywnie wymieniać wszystko. Przez dwa kolejne lata, tzn 2004 i 2005 zdążyłem wymienić połowę wszystkich lin trzymających maszty, ale w czerwcu 2006 odszedłem ze statku i akcja została przerwana. Po dwu latach jeszcze raz powróciłem na statek aby przeprowadzić rejs z Kanadyjską Szkołą pod Żaglami z Europy przez Afrykę, Amerykę Południową, Zatokę Meksykańską na Bermudy. Po dwu latach przerwy nie znałem już aktualnego stanu statku, ale zapewniano mnie że jest znakomicie i jednostka jest przygotowana do

10-cio miesięcznej żeglugi. Na miejscu szybko dało się jednak zauważyć że nie zrobiono nic, a moje pojęcie przygotowania statku znacząco odbiega od obowiązującego wówczas na pokładzie. Nie było nawet najbardziej potrzebnych części zamiennych, które się zużywają. Znając stan i wiek olinowania wzięłem ze sobą różne materiały i wraz z bosmanem i oficerami przy pomocy kanadyjskiej młodzieży wymieniliśmy z kolei wszystkie liny, na których wiszą reje, czyli te poziome drzewca na których są żagle. Po nich się chodzi za każdym razem gdy trzeba rozwinąć lub zwinąć żagle. Niektóre z tych lin po zdjęciu były tak skorodowane, że łamały się nam w rękach. Był to najwyższy czas aby je wymienić chociaż nikt z moich poprzedników o tym nie wspominał. Aż do tej pory ten statek był statkiem

szczęśliwym; nigdy nie było na nim żadnego poważniejszego wypadku. Teraz należy wyciągnąć jednak jakieś wnioski.

### Wnioski

Aktualna wiedza o wypadku wskazuje, że najprawdopodobniej element, który spowodował „efekt domina” znajduje się na dziobie w olinowaniu bukszprytu. A tam były wciąż elementy o wieku równym wiekowi statku. Maszty są w częściach, a na nich jest całkiem sporo lin w tym samym wieku. Ja o tym wiem i powinien o tym wiedzieć również organizator rejsu z młodzieżą. Dlatego wypowiedzi o szybkim remoncie i ponownym użyciu tych samych lin, bo są jeszcze całe budzi mój poważny niepokój. No bo jak długo będą



► jeszcze całe?? Nie dziwię się armatorowi że zależy mu na czasie, bo są przecież podpisane kontrakty, a bez dopływu pieniędzy statek po prostu stanie. Nie dziwię się też organizatorowi choć wydaje się że ma duże doświadczenie, bo olbrzymim wysiłkiem doprowadził do reaktywacji Szkoły pod Żaglami a dysponuje statkiem tylko przez ograniczony czas. A może nie orientował się w stanie statku? Nie dziwię się także młodzieży; po krótkim szkoku uznali to za przygodę – więcej takich. Ale uważam iż nieuczciwością byłoby z mojej strony skrywanie moich zastrzeżeń. Nieuczciwością jest również twierdzenie że statek przeszedł w tym roku bardzo poważny remont. Ten remont był kosztowny, ale obejmował głównie prace związane z kosmetyką, przy masztach i olinowaniu nie zrobiono prawie nic.

Należy zdać sobie sprawę z tego, iż znaczną część ubezpieczenia pochłonie akcja ratownicza z holowaniem do por-

tu. Pozostała suma może nie wystarczyć na przyzwoity remont i bez pomocy dla armatora z zewnątrz po pobieżnym remoncie statek nadal będzie stanowił zagrożenie. Na miejscu w Falmouth jest tylko stocznia jachtowa i jest pewnym nadużyciem lansowane twierdzenie iż jest to doskonałe miejsce. Taka stocznia choćby była nawet najlepsza na świecie, a nie dopiero piąta, to nie wytwarza nic ani z materiałów takich z jakich jest Chopin zbudowany ani w takim reżimie. Oczywiście sprowadzi odpowiednich fachowców i zrobią to dobrze co będzie im zlecone, ale to tylko podniesie koszt remontu. Niektóre zainteresowane strony będą się upierać przy takiej wersji, bo sprowadzenie statku do Polski przekreśli jego eksploatację na dłuższy czas. A statek prawdopodobnie jest w stanie dopłynąć do kraju na własnym silniku bez pomocy żadnego holownika.

Może należałoby się raczej zastanowić w jaki sposób pomóc armatorowi aby był w stanie zrobić to porządnie i

nie zbankrutować, a młodzieży umożliwić ten rejs w roku przyszłym na pewnym i w pełni bezpiecznym statku? Szczególnie, że w projekcie tego statku w moim przekonaniu są pewne dość istotne wady, które przy pomocy konstruktora można byłoby przy tej okazji usunąć. Wady, które mogły wpłynąć na kształt i zakres tej awarii. Kontynuacja idei wychowania młodzieży w niewygodnych, a nawet trudnych warunkach jest warta nie tylko przyzwoitej restauracji Fryderyka Chopina, ale wręcz zastanowienia się w jaki sposób doprowadzić do budowy kolejnych żaglowców, które mogłyby tą akcją rozwinąć. Kryzys gospodarczy mamy teraz, ale obecna młodzież będzie gospodarować Polską w przyszłości i myślę, że warto uczynić wszystko by było to pokolenie jak najwyższej wartości.

ADAM KANTORYSIŃSKI

## POTRZEBA JAKIEGO ŚWIĘTOWANIA

Aż sam się dziwię, że to piszę: właśnie dobiega końca pierwsza dekada dwudziestego pierwszego wieku. Można byłoby ująć patetycznie: właśnie mija pierwszy dziesiątek lat trzeciego tysiąclecia po narodzeniu Chrystusa. I co stąd wynika? Że zamykanie pierwszej dekady trzeciego tysiąclecia po Chrystusie ma w sobie coś magicznego? Że po bardzo dziwnym TERAZ majaczy tajemnicze POTEM? Kościan jawi mi się coraz bardziej adwentowo, bo nie tylko w oczekiwaniu na dwa tysiące dziesiąte urodziny (jak każde uznawać tradycja) Tego, Który Zstąpił z Nieba, ale na kolejne zdarzenia przeobrażające rzeczywistość. Bo jak się obronić przed myślą o zamykaniu pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku – rokiem zdarzeń, o których pokolenia tych zdarzeń w Rzeczypospolitej zaświadczały poki życia nie zapomną?

Dziesiąty kwietnia dwa tysiące dziesiątego roku przejdzie do historii na pewno jako data stanowiąca cezurę pomiędzy kształtami ewoluującego porządku państwa polskiego. Katastrofa smoleńska sama w sobie wywołuje

uczucie patetycznej, jakby z antycznej tragedii greckiej, zgrozy, a w kontekście katyńskim staje się znakiem wręcz sakralnym. Czy więc to jakaś postać zatwóżenia stała się źródłem późniejszego bluźnierczego obłędu przed warszawskim pałacem prezydenckim? Także przyuczany w kościańskiej kaplicy Pana Jezusa do rozumienia świętej symboliki krucyfiksu nie mogłem pogodzić się z rozpaczliwą bezradnością wobec zachowań uczestników konfliktu – jednako dalekich od mądrości i duchowości. Te dwa fakty: metafizycznie tragiczny i bluźnierczy, świętokradczo ochlokracyjny, zderzone ze sobą – znaczą. Co znaczą? Wiem tylko, że we mnie, kościaniaku, coś budzącego przerażenie.

Dlatego i pierwszego listopada na cmentarzach w Kościanie tylko z bliskimi zmarłymi dzieliłem się swoimi niepokojami. Wspominając fizyczną obecność tych, których obecność doskonalszą potwierdzały płomienie zniczy i lampek, elementy doświadczanej rzeczywistości widziałem w relacjach i proporcjach właściwszych. Ci, którzy przekroczyli tajemniczą granicę w męczeństwie, na polu bitwy, na drodze, która doprowadziła do celu innego niż zamierzony, czy ci którzy długo zmagali się z cierpieniem fizycznym bądź duchowym,

wreszcie ci, którzy, jak twierdzą świadkowie, mieli szczęście przekraczać tajemniczą granicę pogodnie i spokojnie – bardzo intensywnie nauczają, jeśli wsłuchać się w ich brzmienie cisz od nich właśnie pochodzących. Treści są bardzo optymistyczne. Słuchając, nadzieję czerpię pełnymi garściami.

Kiedy piszę te słowa, nie wiem nawet, jak w Kościanie przebiegły obchody Święta Niepodległości. Jestem pewien jedynie, że na przykład Janusz Dodot zadbał o to, by jak najgodniej. Nie wiem więc też, jakie rezultaty przyniosły kościaniakom decyzje podejmowane dwudziestego pierwszego listopada. Ale obawiam się, że i w ostatnim dniu roku dwa tysiące dziesiątego trudno będzie przewidywać, jaką postacią będzie miała kadencja otwierająca w Kościanie drugą dekadę dwudziestego pierwszego stulecia po narodzeniu Chrystusa.

Może więc w uwarunkowaniach niewiadomych, wątpliwości niejasności dotyczących tu i teraz, świętując w roku dwa tysiące dziesiątym Narodzenie Boga, warto też nie ograniczać się do jedynie łatwego przeżywania świątecznych urokliwości?

TADEUSZ HOFMAŃSKI

# Skazany na śmierć

**W 1939 roku licealiście i harcerzowi Janowi Górskiemu sen z powiek spędzało jedno zmartwienie. Wojna wisiała na włosku, było niemal pewne, że lada chwila wybuchnie, a jemu i szkolnym kolegom zależało, by tamta wojna zaczęła się rok później.**

– Martwiliśmy się czy zdążymy zdać maturę, by móc walczyć. Nie obrażaliśmy sobie, by wojna obyła się bez nas. Wierzyliśmy, jak wielu wtedy, że jesteśmy przygotowani; silni, zwarci, gotowi. W miesiąc rozbijemy Niemców, a przecież nie mogło nas zabraknąć na zwycięskiej defiladzie w Berlinie – wspomina ze śmiechem 88-letni płk Jan Górski, prezes Okręgu „Wielkopolska” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

W rodzinie Górskich patriotyzm nie był przedmiotem dyskusji, jeśli zaszła taka potrzeba kolejne pokolenia po prostu chwytaly za broń. Rodzice byli działaczami rewolucyjnej frakcji PPS Piłsudskiego, dziadkowie – uczestnikami powstania styczniowego. Dziadek Franciszek Adamski wiele lat spędził w sandomierskim więzieniu. Już miał skierowanie na Sybir, ale babcia ratowała go wyprzedając po trochu ziemię i przekupując carskich urzędników. Kiedy wreszcie wrócił do domu był już bardzo schorowany. Dziadek Józef Górski po upadku powstania musiał uciekać do Galicji, tam się ożenił i osiadł na stałe.

## Rozbicie więzienia

Marzenia chłopców nie spełniły się. Kampania wrześniowa nie była ich udziałem. Ale już z początkiem



*Na uroczystości odsłonięcia Pomnika Polskiego Państwa Podziemnego i AK.*

*Fot. Teresa Masłowska*

1940 r. Jan Górski nawiązał kontakt z ZWZ. Tam usłyszał: - „Zabierz się do nauki, zdaj maturę, potem pogadamy”. Rad nie rad, potraktował to jako pierwszy rozkaz, pojechał do Sandomierza, odszukał przedwojennych profesorów i solidnie przyłożył się do nauki. Rok później, już z maturą, zameldował się u podporucznika Władysława Pietrzykowskiego, ps. „Topór”, szefa Referatu II Obwodu Opatów ZWZ/AK.

- Zaprzysiężono mnie i zostałem łącznikiem między „Toporem” i komendą obwodu. Do 1942 r. pracowałem równocześnie w majątku przejętym przez Niemców, ale rzuciłem to, kiedy skierowano mnie na kurs podchorążych. Po tym jak w marcu otrzymałem stopień kaprała podchorążego całkowicie włączyłem się w konspirację.

12 marca 1943 r. żołnierze z grupy dywersyjnej Obwodu Opatowskiego i oddziału „Jędrusiów” zaatakowali opatowskie więzienie i uwolnili około 70 osób. To była duża udana akcja, o której mówiła cała okolica. Górski ubezpieczał grupę od strony Bramy Opatowskiej, skąd groził atak żandarmerii.

Na przełomie 1942/1943 r. w miarę zbliżania się frontu sowieckiego uaktywniła się działalność komunistycznej Gwardii Ludowej. W powiecie opatowskim grasowała banda przedwojennego kryminalisty Lepiarza, do której przyłączyli się zbiegli z niewoli niemieckiej sowieccy żołnierze, m.in. niejaki kapitan „Saszka”. Banda w 1943 r. podporządkowała się dowództwu GL. 8 maja zaczęli się na leśniczówkę w Nieskurzowie, gdzie grupa operacyjna AK naradzała się w sprawie ćwiczeń wojskowych. Pod wieczór „Topór” wysłał podchorążego Górskiego z meldunkiem do Komendy Obwodu do Gołoszyc. Wpadł prosto w łapy napastników.

- Podeszło do mnie dwóch drabów pytając o drogę do Biskupic. Zanim się odezwałem, jeden wyciągnął pistolet, z krzaków wyskoczyło jeszcze kilkunastu. Usłyszałem: „- To jeden z tych skurwysynów z AK, odprowadzić pod las i rąbnąć!”. Tylko dwóch poszło ze mną, reszta zaatakowała leśniczówkę. Pomyślałem: „- Teraz albo nigdy”. Chwyciłem za





Falszywy Ausweis z błędną datą urodzenia, by uniknąć wywiezienia na roboty.

Fot. z arch. Jana Górskiego

► karabin i zacząłem się szamać, wtedy ten drugi do mnie strzelił. Poczulem, jakby powietrze zaczęło ze mnie uchodzić, osunąłem się na ziemię. Zanim utraciłem przytomność usłyszałem jeszcze suchy trzask, to karabin nie wypalił, szykował się do następnego strzału, ale ten drugi stwierdził: „- Zostaw go, ten ma już dość”. Zanim przegoniła ich stacjonująca w pobliżu kompania akowska zabił łącznika, zranili córkę leśniczego, zdążyli jeszcze podpalić budynki gospodarcze. Po kilku godzinach Górski oprzytomniał, resztką sił doczołgał się do domu leśniczego. Kula trafiła go w płuco, miał wielkie szczęście, że przeżył. Po dojściu do zdrowia skierowano go do dywersji w Podobwodzie Ćmielów, jednocześnie nadal pozostawał w dyspozycji szefa referatu II.

#### Po „Burzy”

W 1944 r. zaczęła się akcja „Burza”. Latem 1944 r. oddział, w którym służył Górski przekształcono w

5 kompanię 2 Pułku Piechoty Legionów AK, on sam awansował do stopnia plutonowego podchorążego. - W lipcu i sierpniu pomagaliśmy Rosjanom w walce w Niemczech na przyczółku baranowskim. Oni zapewniali czołgi, my piechotę. Potem zażądali złożenia broni i podporządkowania się Berlingowi. Dowództwo sprzeciwiło się. Tymczasem dotarł rozkaz gen. Komorowskiego, by pospieszyć na odsiecz walczącej Warszawie. Zgodnie z rozkazem 2 pułk przeszedł przez front na tyły niemieckie i ruszył w kierunku stolicy. Jednostki dotarły do Przysuchy, ale w wyniku obsadzenia Pilicy silnymi oddziałami Wehrmachtu, przy braku ciężkiej broni, dostaliśmy rozkaz cofnięcia się w Kieleckie. Byliśmy mocno rozgoryczeni, tak chcieliśmy pomóc wykrwawiającej się stolicy.

Do listopada 44 r. stoczyli jeszcze wiele walk z niemieckim wojskiem, m.in. w Dziebałtowie, Wąsoszu, Radkowie. Stopniowo akowcom zaczęło wszystkim brakować; amunicji, coraz trudniej zdobywali żywność, bra-

kowało ubrań, żołnierze chodzili w zdartych butach. W tej sytuacji dowództwo AK podjęło dramatyczną decyzję o rozwiązaniu pułków z planem ponownego sformowania wiosną następnego roku. Rozkaz o demobilizacji zastał Górskiego w suchedniowskich lasach. Po kilku dniach w lasach koło Ćmielowa jego batalion został rozwiązany. Górski wrócił do rodziców. W styczniu 45 r. Niemcy jednego dnia zniknęli, w ich miejsce natychmiast przyszli Sowieci. Przez rodzinny majątek Górskich w Jagninie przetoczył się front. Nie było do czego wracać.

#### W rękach UB

Pod koniec stycznia 1945 r. Górski z bratem, który też był w AK, zostali aresztowani w Ostrowcu, skąd zbiegli, by szybko znowu wpaść w ręce UB.

- Po amnestii w sierpniu 1945 r. zostaliśmy zwolnieni, z ojcem wyjechaliśmy na Pomorze Zachodnie. Zatrudniłem się w Zarządzie Wodociągów Miejskich w Szczecinie, gdzie praco-

wali już koledzy z konspiracji. Zaraz też przystąpiłem do WiN-u. W kwietniu 1946 r. skutek prowokacji kolejny raz mnie aresztowano. Wyszedłem po kilku miesiącach po wszczęciu głodówki.

Zawsze chciał zostać lekarzem. Młody, pełen energii pracował, studiował wymarzoną medycynę, jednocześnie kończył drugi kierunek - ekonomię. Wtedy w 1949 r. mógł pomyśleć, że jego życie wreszcie wraca do normalności. Po Wielkanocy przyjechał do Poznania, tam go aresztowano, przewieziono do Kielc, oskarżając o przynależność do bandyckiej organizacji Armia Krajowa i... współpracę z Niemcami.

- Śledztwo zaczęli od kopania i bicia. Za odmowę podpisania wymuszonych zeznań – karcer wielkości 1,5 na 1,5 metra. Dziesięć dni wegetowałem na betonowej posadzce, bez jakiegokolwiek okrycia, raz dziennie dostawałem kawę lub zupę, nie pozwalano skorzystać z ubikacji. Okropnie cuchnąłem. Przesłuchania trwały czasem bez przerwy do 6 czy północy; sadzali mnie na odwróconym taborecie, bili po głowie, jeden ubek grubymi buciorami deptał po palcach.

Po półrocznym śledztwie nastąpił pokazowy proces, w którym posypały się wyroki śmierci na akowców z Obwodu Opatowskiego. Podporucznika Jana Górskiego skazano na śmierć za rzekome zabicie rosyjskich skoczków, ich łączniczki i grupy Żydów. Sąd Najwyższy wyrok zatwierdził. Matka pisała prośbę o ulaskawienie do Bieruta, adwokat złożył odwołanie. Górski się zawziął, nie prosił. W celi śmierci czekał na wykonanie wyroku.

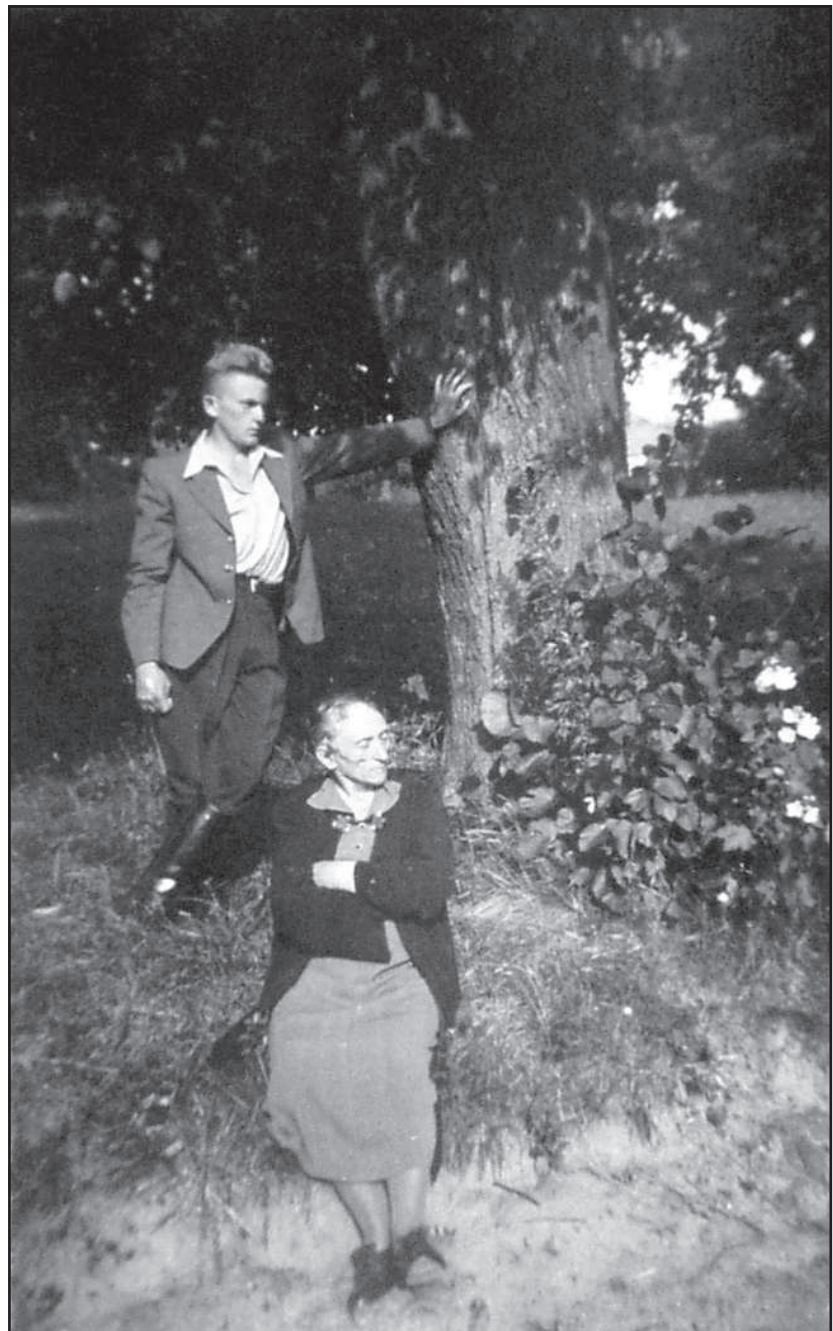
- Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Na początku każde otwarcie drzwi wywoływało myśl, że to już. Wyroki wykonywano między apelem a kolacją. Pamiętam w Wigilię zacząłem jeść, a tu otwierają się drzwi: „- Górski, wychodzić!” Byłem przekonany, że mnie powieszają. Pomachałem kolegom na pożegnanie. Mijam jedną kratę, drugą, trzecią, strażnik prowadzi mnie prosto na miejsce straceń, ale tuż przed skręca do działu administracji. Patrzę, a tam czeka na mnie adwokat. „- Niech pan więcej nie przychodzi o tej godzinie” – powiedziałem.

## Na wolności

Na początku 1951 r. karę śmierci zamieniono na dożywocie. Przerzucano go ciągle do innego więzienia: Rawicz, po roku Racibórz, gdzie tracił wzrok, obóz w Potulicach, a kiedy doszedł do siebie, znowu Rawicz, potem Wronki, Szczecin, Sieradz. Rodzina cały czas starała się o ulaskawienie. We Wronkach Górski napisał wniosek o nadzwyczajną rewizję procesu. W 1956 r. zwolniono wszystkich akowców sądzonych razem z nim, a jego dokumenty procesowe rzekomo zagi-

nęły. Wtedy rozpoczął głodówkę. Po 42 dniach, kiedy słał w oczach, krótko przed świętami Bożego Narodzenia 1957 r. wyszedł na wolność. W więzieniu stracił dziewięć lat życia. Jan Górski jest wesołym, sympatycznym człowiekiem. Zastanawiam się jak to możliwe, że ani represje, ani długie lata w komunistycznym więzieniu, nie zmieniły go w zgorzkniałą osobę?

- Nienawiść niszczy tego, który ją czuje. To byli ludzie, których ten system zwiódł -



Okupacja. Z matką w majątku w Niemienicach. Fot. z arch. Jana Górskiego



► robili, co im kazano. W większości to byli szubrawcy, którzy nas podle traktowali, ale zdarzały się wyjątki. We Wronkach był jeden, który nas pocieszał: „- Nie martwcie się, wypuszczałem więźniów w 1918, potem 1939 i was też wypuszczę”. Mało tego dostarczył komunikanty księdzu - więźniowi, by mógł udzielać komunii św.

**TERESA MASŁOWSKA**

\*

Pułkownik Jan Górski ur. się 15 kwietnia 1922 r. w Jaglinie w powiecie opatowskim. Rodzice Andrzej i Kazimiera z Adamskich gospodarowali na ok. 100 ha majątku. Uczęszczał do gimnazjum i liceum w Sandomierzu. Był harcerzem. Maturę zdał na tajnych kompletach w 1941 r. We wrześniu tego samego roku zaprzysiężony do ZWZ w Obwodzie Opatów. Przybrał pseudonim „Rzędzian”. Był łącznikiem między referatem II a Komendą Obwodu AK Opatów, działał także w dywersji podobowodu ómiełowskiego. Uczestniczył w wielu akcjach i potyczkach z żandarmerią, Werhmachtem, własowcami oraz zwykłymi bandytami. Dwukrotnie ranny. W 1944 r. został dowódcą plutonu wchodzącego w skład 2 Pułku Piechoty Legionów AK. W 1946 r. przez kilka miesięcy pracował w Zarządzie Wodociągów Miejskich w Szczecinie. Działał w WiN-ie. Ukończył ekonomię na Akademii Handlowej w Poznaniu. Kilka razy aresztowany przez UB. W 1949 r. ponownie uwięziony i skazany na śmierć. Po 9 latach wyszedł na wolność. Dokończył przerwane studia medyczne. Był lekarzem w szpitalu w Strzelcach Opolskich. Około 20 lat kierował Przychodnią Chorób Płuc i Gruźlicy w Kędzierzynie-Koźlu. Uzyskał I i II stopień specjalizacji. W latach 1981-1990, do przejścia na emeryturę, był lekarzem w Spółdzielni Krawieckiej „Moda” w Poznaniu. W 1959 r. ożenił się z Danutą. Mają dwie córki: Hannę i Beatę oraz syna Andrzeja. Doczekali się 6 wnuków i 2 prawnuków. W 1989 r. współtworzył Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Przez 9 lat był prezesem Środowiska „Jodła” i równocześnie członkiem Rady Naczelnej SZŻAK. Trzecią kadencję jest prezesem Okręgu „Wielkopolska” SZŻAK. Odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Armii Krajowej. (tm)

# „Dokta” od trędowatych

**Serdeczna, emanująca ciepłem i niesłuchanie skromna. Taka jest legendarna lekarka z Poznania Wanda Błęńska, która spędziła ponad 40 lat na leczeniu i opiece nad chorymi na trąd w Ugandzie. W tym roku pani doktor obchodziła 99. urodziny.**

Wanda Błęńska od dziecka marzyła, by wyjechać na misję. Przed wojną nie mogła tego zrobić, bo świeckich i niezamężnych kobiet nie wysyłano do Afryki. Kiedy niemal zdecydowała się tylko po to, by osiągnąć cel wstąpić do zakonu misyjnego, wybuchła wojna. Wrzesień 1939 r. zastał ją w Toruniu, gdzie pracowała w szpitalu miejskim i Państwowym Zakładzie Higieny. Była już dyplomowanym lekarzem po studiach na Uniwersytecie Poznańskim. Z końcem sierpnia 1939 r. została zmobilizowana i skierowana do szpitala polowego na Helu. Po poddaniu się Helu wróciła do pracy w PZH w Toruniu.

## Ujarzmiła Niemców

Książd Ambroży Andrzejak w piśmie „Drogi Misyjne” tak pisze o jej działalności w czasie okupacji: „Stała się opiekunem Polaków, których członkowie rodzin zostali aresztowani. Wiele osób zawdzięcza jej życie i do dziś ze wzruszeniem wspomina te dni. Już w 1940 r. zaangażowała się do pracy w tzw. „Batalionach śmierci”. Przekazywała polskim żołnierzom, jeńcom w fortach na Glinkach, żywność, bieliznę, korespondencję... Brała również czynny udział w działalności Armii Krajowej - w „Gryfie Pomorskim”. Była łączniczką. Gromadziła materiały sanitarno-opatrunkowe. Brała udział w szkoleniu nowych członków. Do końca wojny pozostała w konspiracji. Jedną z zaprzyjaźnionych koleżanek wspomina, że „swym patriotyzmem i uśmiechem wewnętrznej dobroci ujarzmiła szefów Niemców w Medizinuntersuchungsamt (Urząd Badań Medycznych)”.

## Misja najważniejsza

Po wojnie Wanda Błęńska konsekwentnie dążyła do wyznaczonego celu. W 1947 r. ukończyła kurs medycyny tropikalnej w Hamburgu, rok później kurs medycyny i higieny tropikalnej w Liverpoolu. W 1950 r. wreszcie mogła wsiąść na statek, który wywiózł ją na całe 43 lata do Ugandy. Najpierw trafiła do ośrodka w Fort Portal, po roku przeszła do lecznicy dla trędowatych w mieście Buluba na Jeziorem Wiktorii.

Z wypowiedzi dla radia: - Dopiero na cztery dni przed wyjazdem dowiedziałam się, że jadę leczyć chorych na trąd. Kupiłam sobie książkę o chorobach tropikalnych i zaczęłam czytać, żeby się dowiedzieć czegoś więcej o tej chorobie. Byłam jedną lekarką na dwa szpitale, jeden był w Bulubie, drugi po tamtej stronie Nilu w Neyendze, odległy o jakieś 50 km. Przede mną dwaj lekarze wytrzymali po roku i wyjechali, więc bardzo się ucieszono, kiedy się pojawiłam. Nie podpisywałam żadnego kontraktu i zostałam tam 42 lata.

Warunki - szczególnie na początku - były bardzo ciężkie, ale brak elektryczności, telefonu, personelu i wyposażenia medycznego, problemy z dojazdem do odległych miejscowości, nie zrażały młodej lekarki. W jednym z wywiadów żartowała, że tylko pierwsze dwadzieścia lat było trudne. Z wypowiedzi dla radia: - Pracowałam z jedną białą siostrą, resztę pomocników stanowili pacjenci. Nie miałam telefonu, ani telewizji, czasem nie było się do kogo odezwać. Ale nigdy nie żałowałam tej decyzji. W życiu oświadczano mi się siedem razy,

ale misja była dla mnie ważniejsza...

Dzięki ciężkiej pracy i ogromnej determinacji doktor Błęńska uczyniła z ośrodka w Bulubie świetne centrum leczenia i opieki nad chorymi na trąd. Mała, zabiedzona placówka prowadzona przez irlandzkie franciszkaniki stała się nie tylko nowoczesnym szpitalem dla dorosłych i dzieci, ale powstało tam także prawdziwe miasteczko dla chorych; dom, w którym mogli mieszkać oraz kościół i szkoła dla dzieci.

## Kochana i uwielbiana

Z wypowiedzi dla radia: - W Ugandzie była hiperinfekcja, bo ludzie przez lata nie byli leczeni. Stykałam się z zarazkami przez cały dzień, myło się ręce przed jedzeniem, i tyle. Całe życie miałabym w rękawiczkach chodzić? A co by taki chory pomyślał jakbym do niego w rękawiczkach i jeszcze z maską podchodziła...

W Ugandzie nazwisko doktor Wandy Błęńskiej wywołuje euforię. Bardzo ją tam kochają i uwielbiają za to, ile dobrego zrobiła dla tego kraju i jego ludzi. Ugandczycy mówili do niej „Dokta”. Jej imię nosi utworzone przez nią centrum „Buluba Leprosy Centre, The Wanda Blenska Training Centre”. Pracę lekarki doceniono także w kraju, gdzie młodzież dwóch szkół obrała ją za swoją patronkę: Zespół Szkolno-Przedszkolny w Niepruszewie (powiat poznański) i Piątkowska Szkoła Społeczności i Społeczna w Poznaniu.

W latach, kiedy doktor Błęńska zaczynała leczyć chorych na trąd, była to choroba, której się obawiano niczym zarazy jak później AIDS. Ludzie odsuwali się od chorych, bo bali się zarażenia. Doktor Błęńska otoczyła ich opieką i umożliwiła w miarę normalne życie. Długo była tam jedyną lekarką. Postanowiła to zmienić; zaczęła organizować szkolenia dla lekarzy oraz opiekunów. W latach późniejszych dołączyli do niej inni lekarze z Polski: Wanda Marczak-Malczevska, Elżbieta Kołakowska, Henryk Nowak i Bohdan Kozłowski. W 1983 r. zrezygnowała z kierowania centrum, nadal pozostając lekarzem-konsultantem i prowadząc szkolenia dla personelu medycznego.

Na początku lat 90. wróciła do Poznania. Jest honorową obywatelką



Marszałek Woźniak wręcza doktor Błęńskiej „Pro Memoria”

Fot. Teresa Masłowska

Ugandy i Poznania. Odznaczono ją wieloma wysokimi odznaczeniami, m.in.: Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Odrodzenia Polski, Orderami Św. Sylwestra, Ecce Homo oraz Orderem Uśmiechu. Jest doktorem honoris causa Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu.

## Urodziny u przyjaciół

3 listopada 2010 r. legendarna doktor Wanda Błęńska z okazji 99. urodzin spotkała się z przyjaciółmi ze Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Poznaniu. Na spotkanie z czcigodną jubilatką przybyli przedstawiciele Zarządu Okręgu „Wielkopolska” oraz Środowiska „Pałac-Pomnik”, kapelan AK ks. Leonard Poloch, marszałek województwa wielkopolskiego Marek Woźniak, przedstawiciel prezydenta Poznania Marek Kalemba. Marszałek Woźniak wręczył wzruszonej pani doktor medal „Pro Memoria”, przyznany przez Kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Wojciech Bociański, wiceprezes Środowiska „Pałac-Pomnik” SZŻAK, do

którego należy Wanda Błęńska powiedział m.in.:

- Każdy lubi wystawiać twarz do słońca i grać się w jego promieniach. •ródłem takiego ciepła, źródłem miłości, która grzeje dusze może być tylko człowiek. Czy tacy ludzie istnieją? Tak. I to blisko nas. Takim Chrystusowym dzieckiem jest poznańska lekarka, Matka trędowatych, wyróżniona Orderem Uśmiechu i Benemerenti Jana Pawła II – „Dokta”, doktor Wanda Błęńska. W 99. rocznicę urodzin dziękujemy Pani za to, że jest wśród nas, że pokazuje nam, jak godnie żyć, jak doskonalić siebie i kochać drugiego człowieka.

Solenizantka otrzymała wiązanki kwiatów, skosztowała urodzinowego tortu, a na zakończenie uroczystości goście zaśpiewali doktor Błęńskiej „200 lat...”.

**TERESA MASŁOWSKA**

\* Cytaty w artykule pochodzą z reportażu radiowego Marii Blimel i Wandy Wasilewskiej „Bez kontraktu”, który nadało radio Merkury





*Matuszewscy: Babka, dziadek i matka pana Mirona. Z kolekcji*

*M. Ratajczaka*

# Wielka pasja pana Mirona

[Z regionalistą i miłośnikiem Ziemi Kościańskiej p. Mironem Ratajczakiem rozmawia Katarzyna Żurek]

**Posiada Pan niezmiernie bogatą kolekcję zdjęć. Zbieranie i opisywanie tych fotografii musiało zabrać Panu kilka lat. Od czego się zaczęło?**

- Zdjęcia i różne inne pamiątki rodzinne zawsze były dla mnie ważne. Myślę, iż zamiłowanie do tradycji wyniosłem z domu rodzinnego. Moi rodzice przywiązywali do tego ogromną wagę. Stare fotografie zawsze były obecne w naszym domu. Jak na tamte czasy, kiedy zdjęcia nie były czymś powszechnym i ogólnodostępnym tak jak dziś, był to całkiem pokaźny zbiór. Niestety wszystko to poginęło w czasie okupacji. Po wojnie, kiedy byłem już dorosłym zacząłem działać w Towarzystwie Miłośników Ziemi Kościańskiej. Tam poznałem wspaniałych ludzi, wybitnych regionalistów takich, jak dr med. Henryk Florkowski czy red. Jerzy Zielonka. To oni obudzili we mnie ducha dokumentalisty. Historia i dzieje regionu, a przede wszystkim mojej rodziny stały się dla mnie bardzo ważne. Chciałem zachować wspomnienia dla potomnych, dla dzieci i wnuków.

**Rzeczywiście to pokaźna kolekcja. Mamy tu cały wiek XX, losy Pana bliskich uchwycone i utrwalone w kadrze. Które zdjęcie jest najcenniejsze?**

- Trudno powiedzieć. Każde z tych zdjęć to ważna chwila w życiu moim czy moich bliskich. Mam jednak „perłkę” w swoich zbiorach, którą mogę się pochwalić. O proszę spojrzeć, to jest najstarsze zdjęcie z całej kolekcji. Zrobiono je w 1899 roku. Widać na nim moją matkę Marię oraz jej rodziców. Mama miała wówczas roczek.

**Na zdjęciu są również dziadkowie...**

- Tak to Wincenty i Prakseda Matuszewscy, rodzice mojej matki. Pochodzili z Kościana i tutaj mieszkali w domu nr 7 przy na ul. Szewskiej. O tutaj widzi Pani zdjęcie. Zajmowali domek w którym obecnie mieszka rodzina Hellerów. Dziadek był wspaniałym człowiekiem. Odważny, z pomysłem, no i z poczuciem humoru. Dbał o całą rodzinę. Tradycja była dla niego bardzo ważna. Dużo w życiu prze-

szedł. Był patriotą i kochał kraj. Działal w ruchu śpiewaczym – w chórze „Cecylia” Czarkowo – Naclaw; w kościańskiej „Lutni” był członkiem zarządu. Prześladowany był przez władze pruskie. Walczył w I wojnie światowej. Miał szczęście - wrócił z frontu. Jednak do końca życia nosił w sobie wojenną „pamiątkę”. Był ranny w pierś, a kula pozostała w ciele. Lekarze nie zdecydowali się na operację, gdyż groziło to śmiercią.

#### **I nastala Niepodległość...**

- Nie było wcale łatwo - bezrobocie, w wielu rodzinach bieda. Dziadek Matuszewski był jednak przedsiębiorczym człowiekiem - otworzył i prowadził na ul. Wrocławskiej zakład bławatny. Został pierwszym w odrodzonym Kościanie cechmistrzem krawieckim, w 1925 roku wybrano go rajcą miejskim.

#### **A pan urodził się?**

- W Kościanie, w „Jodemce”. To stara kamienica Janickich na narożniku ulicy ks. Surzyńskiego i Bernardyńskiej. Mój ojciec Walenty Ratajczak nie był rodowitym kościanianinem. Pochodził z Mirosławek koło Sędzewa. Do Kościana trafił we wczesnych latach dwudziestych, aby odbyć tu służbę wojskową. Na ul. Świętej Zofii nieopodal dzisiejszego Urzędu Pracy mieściła się wówczas Rejonowa Komenda Uzupelnień i tam właśnie służył mój ojciec. A że był z zawodu mistrzem krawieckim, i do krawiectwa bliżej mu było niż do wojaczki, często gościł w pracowni mego dziadka. Tutaj poznał moją mamę Marię i pobrali się.

#### **Ma pan jakieś szczególne wspomnienie z dzieciństwa?**

- Mam wiele wspomnień i lepszych, i tych gorszych. Jeden obraz utrwalił się w mej pamięci na dobre - prześladowanie mnie do dziś. Ulica ks. Surzyńskiego była przelotową, często przejeżdżały nią wojska niemieckie, różne transporty ludzi. Jak to dzieci, obserwowaliśmy to z okien naszego domu. Któregoś dnia w październiku 1939 roku ruch był wyjątkowo wzmożony. Coś w mieście się działo. W pewnej chwili pod naszymi oknami przejechały wozy, były pełne ludzkich zakrwawionych ciał - to rozstrzelani kościaniaci. Niemcy transportowali ich na cmentarz żydowski. We wrześniu 1941 przesie-

dłono nas na gorsze mieszkanie, przy Rynku, na zapleczu obecnej Apteki Grodzkiej. Jednej nocy w 1944 roku do naszego mieszkania wpadli Niemcy. Była może godzina druga. Kazali nam zabierać się tak jak staliśmy. Mama zdążyła zabrać jedną kołdrę. Przedostatnim transportem kościańskim wywieźli nas na roboty do Starej Rzeszy. Mam w zbiorach ostatnie wspólne zdjęcie z czasów okupacji. Jeszcze wszyscy jesteśmy razem: moi rodzice i całe moje rodzeństwo starsze siostry Jolanta, Gizela, bracia - Lechosław i Zdzisław, dalej ja i dwie najmłodsze Urszula i Walentyna. Najmłodsza dostała imię na cześć ojca, taki wówczas był obyczaj - jak rodzice nie chcieli więcej potomków, dawali imię po ojcu. Najbardziej ucierpiała moja siostra Gizela. Jako czternastoletnią dziewczynkę Niemcy wzięli ją do obozu pracy w Henrykowie nieopodal Leszna. Pracowała tam przy kopaniu rowów przeciwlotniczych. Nie mieliśmy z nią kontaktu. Nie wiedzieliśmy co się z nami dzieje ...

#### **Was wywieziono do Reichu...**

- Najpierw do prowizorycznego obozu w Poznaniu, a następnie do obozu przejściowego w Lerthe. Były tam baraki. Kazano nam wejść do jednego z nich. Ogromna hala przedzielona jakimiś kotarami czy kocami, a w niej oddzielnie mężczyźni oraz kobiety z dziećmi. Strasznie gorąco - pod wpływem temperatury wszelkie robactwo miało wyginąć. A tu nagle huk - bomby spadały dookoła. Panika, runęły zasłony, wszyscy krzyczeli. To byli nalot angielskiego lotnictwa. Pomyślałem, że już z tego nie wyjdziemy. A jednak ktoś nad nami czuwał. Alianci zbombardowali biura, kwatery Niemców, baraki jednak ocalały. Wojna miała się ku końcowi. Wysłano nas do pracy na wieś do miejscowości Hedeper w Dolnej Saksonii. Trafiliśmy do majątku Kurta Bötela. Był to oficer Wehrmachtu, służył wówczas na froncie. Majątkiem zarządzała jego żona. To był duży majątek rolny, w którym ciężko pracowali rodzice i starsze rodzeństwo: Jolanta, Lechosław i Zdzisław. Ja zaś z młodszymi siostrami zostawałem w domu. Miałem się nimi opiekować. Alianci bombardowali codziennie. Zabierałam wówczas siostry i uciekaliśmy w pole jak najdalej od go-

spodarstwa. Poczucie niepewności o nasz los było dla rodziców wykańczające. Często wracali późnym wieczorem, zmęczeni i zrezygnowani. Bracia zajmowali się orkami - koni brakowało, więc orali wołami. My Polacy poganiałiśmy woły, a Niemcy - nas. Ojciec nie mógł tego znieść. Poza tym miał problemy z kolanem, praca w tamtych warunkach stawała się dla niego nie do zniesienia.

#### **Powiedział „dość”?**

- Poskarżył się pani Bötela, która okazała się pocziwą Niemką. Dowiedziawszy się, iż jest krawcem zatrudniła go przy szyciu worków na zboże. Po jakimś czasie dała mu oddzielny pokój, maszynę do szycia i ... radio. Zastrzegła jednak, że radio ma służyć tylko i wyłącznie do słuchania muzyki. Szył kostiumy dla całej rodziny Bötela, no i oczywiście słuchał Radia Londyn. Odtąd zawsze wiedzieliśmy co dzieje się na froncie.

#### **Oswobodzili was Amerykanie...**

- To była długo wyczekiwana chwila. Chcieliśmy jak najszybciej wrócić do Polski, bo nasi bliscy czekali. W roku 1946 udało się. Spędziliśmy w Niemczech dwa lata. Najbardziej naszą wywózkę przeżywali dziadkowie. Niemcy zabierali nas na ich oczach. Wszystko to obserwowali i nie mogli nic zrobić. Niestety dziadek Wincenty nie doczekał naszego powrotu. Zmarł 23 marca 1945 r. Gizela przeżyła wojnę. Zaopiekowała się nią ciotka - siostra matki. Po wojnie ciotka z całą rodziną przeprowadziła się do Gdyni. Gizela codziennie wychodziła do portu wyczekując naszego powrotu... No i w końcu doczekała się. Przyłączyliśmy się z Lubeki do Gdańska - Nowy Port. Był to długi i niepewny rejs - dwa dni i dwie noce po zaminowanym morzu. Gdy się spotkaliśmy radości i łzom nie było końca. To była jedna z tych szczęśliwych chwil w moim życiu.

#### **Po wojnie zaczynaliście od nowa...**

- Początek był trudny. Nie mieliśmy mieszkania. Tułaliśmy się z miejsca, na miejsce. Parę dni mieszkaliśmy w przej-







Kościan ul. Szewska, rodzinny dom Praksedy i Wincentego Matuszewskich.

Z kolekcji M. Ratajczaka

ściowych barakach PCK, które mieściły się przy dworcu PKP. Następnie przysparzyła nam babcia do swojego mieszkania na ul. Szewskiej. Ojciec był uparty - walczył jak lew, aż w końcu wywalczył dla nas mieszkanie. Otrzymaliśmy zakwaterowanie w Kościanie, na ul. Bączkowskiego. Tam też zmarli moi rodzice.

**Czy nie ciągnęło Pana, aby odwiedzić miejsce wywózki - Hederper ?**

- Zawsze chciałem tam pojechać. I byłem nie tak dawno temu. Jako dziecku tamte gospodarstwo wydawało się ogromne. Po czterdziestu siedmiu latach już jako dorosły człowiek zobaczyłem to wszystko z zupełnie innej perspektywy. Jechaliśmy z żoną i przyjaciółmi do Holandii. Przejeżdżaliśmy niedaleko i musiałem tam zajrzeć. Staaliśmy więc przed ogrodzeniem, wysiedliśmy z samochodu i rozglądaliśmy się. Zainteresowała się nami jakaś kobieta i po moich wyjaśnie-

niach dlaczego się tam jesteśmy, zaprosiła nas do środka. Okazało się później, że była to synowa pani Bötel. Moja była chlebodawczyni żyła, cieszyła się dobrym zdrowiem. Gdy powiedziałem, iż nazywam się Ratajczak od razu wiedziała o kogo chodzi. Pamiętała ojca i matkę. Bardzo przyjemnie wspominam to spotkanie.

**Słucham i zastanawiam się skąd bierze pan tyle siły, poczucia humoru i życzliwości dla drugiego człowieka, przecież życie was nie oszczędzało?**

- W życiu bywają chwile jasne i ciemne. Staram się spoglądać do przodu i nie rozpamiętywać dawnych krzywd i niesprawiedliwości. Szkoda na to czasu. Jest tyle nowych i ciekawych rzeczy do zrobienia. Na swej drodze spotkałem różnych ludzi i dobrych, i złych. Staram się żyć w zgodzie ze swoim sumieniem, które podpowiada mi, że trzeba zachować coś, przekazać kawałek historii swoim bliskim. I przy okazji życzyć wszyst-

kim kościaniakom, szczególnie czytelnikom „Wiadomości Kościańskich”, zdrowych świąt i dobrego nowego roku.

**KATARZYNA ŻUREK**

Miron Ratajczak – ur. w 1934 r. w Kościanie, syn Marii i Walentego Ratajczaków. W skarbowości w Kościanie przepracował 42 lata. Regionalista. Długoletni działacz i członek statutowych władz: Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej, Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego i Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia w Lesznie. Współautor publikacji: „Szkice z dziejów kościańskiej skarbowości”, „Kalendarium Miasta Kościana”, „Szkice z dziejów kościańskiego samorządu”, „Szkice z dziejów kościańskiego magistratu”. Żonaty z kościanianką Zdzisławą z d. Ciesielska; dwójka dzieci: córka Katarzyna, syn Wojciech.

Dzienniki Macieja Morawskiego (V)

# „Nie jestem panią Soleil”

**Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Ostatnio tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy drugi odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2010r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: [www.maciejmorawski.blox.pl](http://www.maciejmorawski.blox.pl)**

*15 września*

Wczoraj obchodzono tu 10. rocznicę zgonu Jerzego Giedroycia. Na cmentarzu w Le Mesnil-le-Roi ambasador Tomasz Orłowski, któremu towarzyszył radca Mikołaj Kwiatkowski, złożył wieniec na grobie p. Jerzego. Byłem tam, myślałem o zmarłym. Przypomniałem sobie nagle, nie wiem dlaczego, iż Wacjo Zbyszewski mawiał, że w połowie lat 1920 Jerzy Giedroyc był najpiękniejszym młodym człowiekiem w Warszawie. Później w kościele w Le Mesnil-le-Roi celebrowano Mszę św. za spokój duszy p. Jerzego. Koncelebracji przewodniczył ks. superior Leszek Woroniecki, szef tutejszej regii księży pallotynów. „Kulturę” od wielu lat łączyła bliska przyjaźń z palloty-nami. Zaczęło się od ks. Józefa Sąd-zika. Pan Jerzy wysoko cenił jego intelekt. Później bliskimi przyjaciół-mi „Kultury” byli księża Zenon Modzelewski, Marian Falenczyk, Florian Kniotek, no i „honorowa palloty-nka” (jak to mawiał Kisiel) red. Danu-ta Szumska.

Ale wracam do dnia wczorajszego. Z superiorem Woronieckim koncelebrowali Mszę ks. Marian Falenczyk i ks. Ryszard Borkowski z Siedlec. Ks. Falenczyk wygłosił kazanie. Ponoć świetne. Ja niestety, siedząc trochę w tyle, nic nie dosłysza-łem. Chyba nawalił mikrofon. Po Mszy św., w której brały udział oso-by takie, jak: niezwykle ceniony przez p. Jerzego intelektualista Woj-

ciech Karpiński, prezes Instytutu Li-terackiego Wojciech Sikora i jego żona podejmowali gości w domu „Kultury”. Skromne, lecz doskonałe przyjęcie. Z najbliższych dawnych współpracow-ników p. Jerzego byli tam np. Agnieszka Szypulska-Kwiatkowska (pracowa-ła z Redaktorem przez 18 lat), Leszek Czarnecki z żoną i Oleńka Bernhardt. Było tam też kilku współpracowników i przyjaciół Instytutu Literackiego - Andrzej Bernhardt, Piotr Daszkiewicz i inni. Były także władze miasta Le Mesnil-le-Roi i Witold Zahorski z Bi-blioteki Polskiej w Paryżu. Wyświetla-no jakiś film o „Kulturze” z wypowie-dziami p. Jerzego, Kota Jeleńskiego, Józia Czapskiego i innych. Toczyły się ożywione rozmowy. Padła opinia, że pan Jerzy winien leżeć na Wawelu, ale cóż, on sam zdecydował, że będzie po-chowany w Le Mesnil-le-Roi.

Wieczór ten mnie wzruszył. Tyle wspomnień! Zarówno o p. Jerzym, jak i o Józiu Czapskim i o p. Henryku [Gie-droyciu – dop. red.]. Także o p. Zofii Hertz. W moim pojęciu za mało się pod-kreśla rolę p. Zosi. Żelazną ręką kiero-wała stroną organizacyjną Instytutu. Miała szczególny instynkt, znała się na ludziach. Nieraz ostrzegwała p. Jerze-go, radziła mu unikać kontaktu z tym czy innym. Ciekawym człowiekiem był też Zygmunt Hertz, mistrz od kontak-tów z rodakami, opiekun wielu Pola-ków...

*17 września*

Uprowadzenie nocą ze środy na czwartek w mieście Arlit (północna Ni-

geria) 5 Francuzów, pracowników firm „Areva” i „de Vinci” było być może dziełem terrorystów związa-nych z Al-Kaidą. Równocześnie francuski minister spraw wewnętrz-nych Brice Hortefeux oświadczył, iż zagrożenie terrorystyczne godzące we Francję zwiększyło się... Terror-ryzm, to nowoczesna forma wojny! Zagroza on wielu krajom. Spece nie wykluczają możliwości terroryzmu nuklearnego...

Narzuca się pytanie: czy Polsce grozi terroryzm?... W 1981 r. niezna-ni sprawcy postrzelili w kawiarni na piętrze (obecnie kasyno) warszaw-skiego Hotelu Victoria palestyńskiego terrorystę Abu Dauda. Wówczas uratowano mu życie. Zmarł dopiero 3 lipca 2010 r. w Damaszku. Według jego i innych relacji PRL szkoliło wówczas bojowników palestyń-skich(?). W Warszawie i gdzie indziej w Polsce znajdowały się tajne „bazy operacyjne” palestyńskich organizacji paramilitarnych. Palestyń-czycy mieli - jak się słyszy - w PRL duże kontakty i przyjaciół. Nieraz uważa się teraz, że wszystkie kraje mające wojska w Afganistanie są narażone na zamachy terrorystyczne. Osobiście, nie jestem tego pe-wien. Lubię polski dowcip, że u nas trudno dokonać zamachu, bo gdy terroryści podstawiają w jakimś klu-czowym punkcie samochód lub wa-lizkę z ładunkiem wybuchowym, to zaraz zadziałają nasi złodzieje, wybuch miast np. w





„dzielnicy rządowej” nastąpi zupełnie gdzie indziej!

Ja z kolei dodam, że dowodem niezdolności przewidywania „wielkich tego świata” jest to, że np. w USA całe kierownictwo tego mocarstwa jest skupione w Waszyngtonie. Co za gratka dla np. terroryzmu nuklearnego, czy biochemicznego! Są schrony, ale kto zdąży się w nich schronić? Ojciec opowiadał mi, iż w Rumunii jesienią 1939 r. oficerowie z otoczenia Rydza-Śmigłego mówili mu: „nie mogliśmy przewidzieć błyskawicznej klęski, nie byliśmy dostatecznie poinformowani!”. Była to bzdura. Po prostu Rydz i jego ludzie nie wierzyli np. ekspertom „Dwójki”, oskarżali ich o defetyzm, o przecenianie potęgi Niemiec! Teraz też być może niedostatecznie bierze się pod uwagę zagrożenia mogącego wyniknąć z możliwości nagłej wojny terrorystycznej... Ale dorzuć, jak to kiedyś powiedział Prezydent Pompidou: „Je ne suis pas Madame Soleil” (nie jestem Panią Soleil). (Pani Soleil, słynna wróżbitka i astrolożka, ur. w Paryżu w 1913 r., zmarła tamże w 1996 r.). Jedno chyba oczywiste: szereg kluczowych urzędów i ośrodków władzy, obrony itd., mądrze by było „zabrać” ze stolicy i umieścić w chronionych, bezpiecznych punktach na prowincji... Ale kto dziś patrzy w przyszłość i logicznie rozumuje? Ludzie są mądrzy „poniewczasie”.

### 18 września

Wierny czytelnik tego blogu prosi, bym odnotował anegdoty, które mój Ojciec ponoć świetnie i często opowiadał. Trudne zadanie. Nie mam w tej dziedzinie talentu i pamięci Ojca, ale spróbuję kilka przytoczyć:

- Tak więc, kiedyś przed rokiem 1900, pewna ambasadorowa wykazała się „niesamowitą dyplomatyczną przytomnością umysłu, którą później cały wiedeński korpus dyplomatyczny z lubością przytaczał”. Z trzema kilkunastoletnimi córkami, szła korytarzem jakiejś wiedeńskiej restauracji, mającej specjalne małe sale jadalne dla ceniących intymność gości. Nagle otworzyły się drzwi, korytarzem biegła rozebrana piękna dama, a za nią pędził jeden z arcyksiążąt. Był on w stroju adamowym.

Ambasadorowa powiedziała córkom: „Dygnijcie, to przebiega jego cesarska wysokość”.

- Jeszcze coś innego. Król norweski w czasie wojny opowiadał Ojcu, że kiedyś z królami Danii i Szwecji pojechali daleko na norweską wieś. Zostawili samochody i osłonę. Poszli sami na spacer. Na rowerze przejeżdżał tamtędy chłop. Chwilę z nimi pogadał. Odjeżdżając spytał: „A kim właściwie panowie jesteście?”. Padła odpowiedź: „Ja jestem twoim królem, a to królowie Danii i Szwecji”. Chłop odjechał wołając na pożegnanie: „A ja jestem Jezus Chrystus”.

- No i może ostatnia na dziś anegdota. Przed laty, ludzie w eleganckich hotelach sami wpisywali się do rejestru gości. Mój ojciec widzi pewną znajomą z Polski, wpisującą się: comtessa taka a taka. Pyta ją: „Czemu nie princessa, to również nieprawdziwe, a brzmi ładniej”.

A propos anegdot mego Ojca, to Totuś Parczewski zawsze lubił ich słuchać. Mówił mu: Znasz je na pamięć. Na to on stwierdzał: „Ambasador opowiada za każdym razem trochę inaczej!”.

### 21 września

W sanktuarium emigracji walczącej, Domu Spokojnej Starości Polskiego Funduszu Humanitarnego w Lailly-en-Val ciężko zachorował słynny Kazimierz Romanowicz. Jest w szpitalu. Kazimierz Romanowicz, wdowiec po zmarłej 28 marca 2010 r. pisarce Zofii Romanowiczowej, urodził się 9 listopada 1916 r. w Lemieśzówce koło Kamieńca Podolskiego. Już przed 1939 r. był księgarzem w wielkiej firmie Gebethner i Wolf. W 1937 r. przybył na staż do Księgarni Polskiej w Paryżu. Po wybuchu wojny ukończył podchorążówkę w Coëtquidan. W 1942 r., już z Anglii, skierowano go do II Korpusu gen. Andersa. W randze podporucznika przeszedł całą kampanię włoską, zasłynął bohaterstwem pod Monte Cassino (odznaczony VM i 2 razy KW). Po wojnie znalazł się w Paryżu. Współpracował z Józefem Czapskim, wówczas delegatem II Korpusu. Powołał do życia Księgarnię „Libella”, którą prowadził do 1993 r. Przez krotki czas, z Władysławem Wantułą kierował też wytwórnią płyt (nagrania np. Wiery Gran i Krystyny Paczewskiej).

Za radą Kota Jeleńskiego założył przy księgarni galerię obrazów. Wystawiali

tam wybitni malarze z całego świata np. Jacek Fedorowicz, Jan Lebenstein, Josaku Maeda, Raymond Mirande, Leonor Fini, Stanislao Lepri, Tadeusz Dominik (ogółem około 200 wystaw). Kazimierz Romanowicz organizował w księgarni i galerii Lambert liczne wieczory autorskie itd. Księgarnia w oparciu o Fundację USA mogła polskim intelektualistom i studentom dawać za darmo książki wydawane po polsku na emigracji. Tyle na razie pamiętam o Kazimierzu Romanowiczu i jego działalności. Był on wraz ze swą żoną, czołową postacią polskiej emigracji walczącej tutaj w Paryżu. Teraz już od wielu lat jest w Lailly.

### 26 września

Wczoraj rano udałem się do Lailly. Zaraz po przybyciu dowiedziałem się, że zmarł jeden z ostatnich Mohikanów Drugiej Wielkiej Emigracji, naprawdę bardzo znany i ceniony Kazimierz Romanowicz.

### 5 października

Dobra wiadomość. Ukazał się piękny album: „Park Miejski im. Kajetana Morawskiego w Kościanie: historia, tradycja, przyroda”. Taką inicjatywę podjął zasłużony historyk Ziemi Nadbrzańskiej, słynny Jerzy Zielonka. Część dendrologiczną dzieła opracował zespół naukowców Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu (Uniwersytet im. Augusta Cieszkowskiego - filozofa, który „zasadą bytu i historii uczynił ideę czynu”, ziemianina, przewodniczącego Koła Polskiego w Sejmie Pruskim... Owym zespołem naukowców kierował dr inż. Paweł Rutkowski. Zdjęcia wykonał artysta fotografik Bogdan Ludowicz. Album wydały władze miejskie Kościana. Podziękowanie składam burmistrzowi Michałowi Jurdze i wiceburmistrzowi Maciejowi Kasprzakowi oraz Radzie Miasta i wszystkim kościaniakom!

Co do Parku Miejskiego w Kościanie im. Kajetana Morawskiego (bojownika o zjednoczoną Europę), to z pomocą miejscowych posłów do Parlamentu, winien on stać się współorganizatorem europejskiej sieci ośrodków młodych ekologów i administratorów natury. Rola w tej dziedzinie dynamicznego Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu może być wielka! Oboje moi rodzice wielce kochali przyrodę! W Jurkowie znakomity, kształ-

cony bodajże w Anglii ogrodnik hodował piękne kwiaty, „wytwarzał” nowe gatunki róż! Pamiętam np. różę o nazwie: „Kardynał Hlond”. Tak, Pan Kaszkowiak był świetnym ogrodnikiem, miał mądrą żonę i dwie miłe córki. Tyle sobie przypominam... Lata idą!

### 7 października

Od wczoraj w Warszawie. Z miejsca wpadłem w wir spotkań. Zaraz po przyjeździe miła kolacja w Radio Cafe z Kazimierzem i Ignacym Morawskimi, z Mariuszem Kubikiem i gospodarzem lokalu, Stanisławem Pruszyńskim. Jedzenie wysokiej klasy. Lokal ma swoistą atmosferę, nadaje mu ją Stanisław Pruszyński, człowiek znający wiele języków i liczne kraje. O dużym zakresie zainteresowań, błyskotliwie inteligentny.

### 9 października

Byłem dziś w rezydencji Ambasadora Szwajcarii w Warszawie na uroczystości wręczenia tegorocznej Nagrody Kościelskich Marcinowi Kurkowi, autorowi poematu *Oleander*, wydanego przez „Zeszyty Literackie”. Od lat Fundacja Kościelskich jest odkrywcą talentów. Taki jest jej cel i takie było życzenie zmarłej w 1959 r. w Genewie pięknej Moni Kościelskiej, niegdyś dobrze zapowiadającej się aktorki i piosenkarki, później żony Władysława Kościelskiego, ziemianina, poety, wydawcy, mecenas sztuki. Ojciec mój znał Władysława i Monikę Kościelskich od lat. Podkreślał, że po samobójczej śmierci męża w 1933 r. Pani Monia tylko dzięki swej odwadze, inteligencji i energii uniknęła grożącego jej bankructwa. Pani Monia, którą często widywałem w Paryżu w latach pięćdziesiątych, była osobą o wielkim uroku i talentach także towarzyskich. Miała specyficzny styl zachowania, styl Warszawy z okresu dwudziestolecia, ówczesnych sfer literackich i światłego ziemiaństwa. Do 1939 r. prowadziła w swej kamienicy przy Świętojańskiej 4 w Warszawie, słynny salon literacki. Salon, który - jak mawiał mój ojciec - czasami przywodził na myśl książki Marcela Prousta i jednocześnie skupiał kwiat polskiej literatury. Według ojca, atmosfera owego salonu, przypominała tę w pałacu w Pławowicach pod Krakowem, siedzibie Ludwika Hieronima Morstina, bliskiego przyjaciela obojga Kościelskich.

Wybr. i oprac.

**TERESA MASŁOWSKA**



Collège de France.

Fot. Z. Wojtczak

## Podróże z literaturą Mickiewicz w Paryżu

W poprzednim numerze WK prezentując paryskie cmentarze napisałem, że Paryż to miejsce, w którym żyli i tworzyli najwięksi polscy poeci. Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki. Cyprian Norwid i Zygmunt Krasiński. Ich miejsca zamieszkania, związane z nimi budynki i pomniki, kościoły w których modlili się, ulice którymi chadzali i ławki na których siadali, są przecież do dziś.

Przeciwnie aniżeli w Polsce tych miejsc nie rujnowały narodowe zrywy i nie przecacała się przez nie walec wojen. Po prostu są. Czasem w takim samym kształcie, jak wówczas gdy żyli, czasem odrobinę zmienione. Czy ich znajomość, czy przebywanie w ich sąsiedztwie w jakiś sposób wpływa na odbiór ich twórczości? Myślę, że tak. Pozwala bowiem lepiej poznać życie twórców, dostrzec, prawie że fizycznie dotknąć problemów przed którymi stawali. Zrozumieć ich życiową sytuację i wybory. W końcu - i to jest może najważniejsze - lepiej poznać to co stworzyli, ich dzieła, co ciągle trwają. Dzieła które kształtowały pokolenia Polaków i mam nadzieję, że kształtować będą pokolenia następujące po nas.

Rozpocznijmy wędrówkę po Paryżu w poszukiwaniu miejsc z nimi związanych. Jeżeli od kawiarni Flora pójsz w prawo bulwarem Saint Germain w kierunku Théâtre de l'Odéon to po minięciu placu Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir i kościoła Saint-Germain-des-Prés, kolejno mijamy rue Cardinale i rue du Four, a po kilku jeszcze krokach, zbliżamy się do ulicy de Seine. Prowadzi, prostopadle do

bulwaru, ku Sekwanie. Ulica niby taka sama, jak dziesiątki paryskich ulic, u swego początku pełna restauracji, kawiarni, barów, zastawiona wystawionymi na zewnątrz stolikami. Pełna ludzi i gwaru. Po minięciu krzyżującej się z nią rue de Buci cichnie, robi się jakby węższa, spokojniejsza. Wreszcie napotykamy znajdujący się tam dom oznaczony tabliczką z nr 63. Dom jak dom. Ani nazbyt ładny czy elegancki. Nic w nim nadzwyczajnego. Parter zajmuje zniszczona, dotknięta już zębem czasu brama i szerokie okno Pharmacie. A przecież to w nim znalazł mieszkanie, pierwsze lokum w Paryżu - Adam Mickiewicz. To tu, w oficynie tego niepozornego domu powstawał „Pan Tadeusz”. Największy i najpiękniejszy polski poemat. Święta księga wielu pokoleń Polaków. Tu Poeta czytał jego fragmenty przyjaciółom i kolegom...

Poemat powstawał przy biurku, które dzięki synowi Poety - Władysławowi, znajduje się dziś w Bibliotece Polskiej na Wyspie Św. Ludwika przy Quai d'Orléans 6. O samej bibliotece może innym ra-





zem. Teraz wróćmy na rue Seine 63. Po ukończeniu „Pana Tadeusza”, z tego właśnie budynku, po wielokroć, szedł poeta z jego korektą w kieszeni albo tylko nadzorować przebieg prac do drukarni Pinarda, gdzie poemat był drukowany. Droga do niej wiodła poprzez rue Seine ku Sekwanie, a potem w prawo jej nadbrzeżem poprzez Quai Malaquais na Quai Voltaire 15. Tam bowiem drukarnia ta się znajdowała. Wielokroć trasę tę przeszedłem. Wolnym krokiem zajmowało mi to około piętnastu minut. Poeta czynił to zapewne szybciej, miał zaledwie lat 36 gdy oddał poemat do druku, a więc prawie połowę mniej niż ja.

Kim był Pinard? Paryskim drukarzem tamtych lat. Drukował nie tylko Mickiewicza, ale i innych polskich poetów. Między innymi wiele poezji Juliusza Słowackiego. Ten też w swych listach do matki kilkakrotnie wspomina, że rozkochał w sobie jedną z córek Pinarda – Korę.

\*

„Pan Tadeusz” ukazał się drukiem dzięki Aleksandrowi Jełowickiemu, który z góry wykupił cały jego nakład. Poemat wydrukowano w nakładzie trzech tysięcy. Do naszych czasów dotrwało, jak się oblicza, około jednego tysiąca egzemplarzy. Muszę się pochwalić, że jeden z nich zdobi mój dom. Małeńka książeczka w dwóch tomikach. Cieniutki, pergaminowy papier, gdziegdzie pożółkły, a ile dostarcza wzruszeń kiedy go dotykam ...

Kto zacz Aleksander Jełowicki? To

polski pisarz, żołnierz Powstania Listopadowego, kawaler orderu Virtuti Militari za obronę Warszawy, poseł na Sejm w 1831r. A w Paryżu wydawca i właściciel drukarni, w 1841 przyjął święcenia kapłańskie, członek Zakonu Zmartwychwstańców, spowiednik Mickiewicza i Chopina. Prawda, że postać to niezwykła i nader interesująca. Pochowany został na cmentarzu Montmartre. Tablica poświęcona Jełowickiemu znajduje się w kościele polskim, który powstał na rue Saint-Honoré m.in. dzięki jego usilnym staraniom. Kościół ten jest pod wezwaniem, jak to określają Francuzi - Notre-Dame-de-L'Assomption, w naszym języku zaś Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, a więc tak jak wezwanie naszej kościelnej Fary.

Wracając do Adama Mickiewicza. Jakiegoś słonecznego przedpołudnia popijając kawę w małej kafejce na skrzyżowaniu Quai d'Orleans i rue des Deux Ponts postanowiłem odwiedzić jeszcze jedno paryskie miejsce związane z Wielką Emigracją, a nade wszystko z bohaterem tej opowieści. Przeszedłem więc Point de la Tournelle, obok strzelającego w niebo pomnika Św. Genowefy (patronki Paryża, a twórcą pomnika jest Paul Landowski syn polskiego powstańca z 1863r. Landowski jest też twórcą pomnika Chrystusa Zbawiciela w Rio de Janeiro), nadbrzeżami de la Tournelle i de Montebello, skręciłem w ulicę du Petit Pont, a potem w prawo w rue Saint-Severin i stanąłem przed kościołem Św. Seweryna. Przepiękna olbrzymia bryła świątyni, jej przypory, sterczyny i wimpergi pozostawiają niezatarte wrażenie, które jeszcze wzmacnia urok jego wnętrza. Niektóre z filarów, na

których opiera się sklepienie mają formę palmowych pni, a opisać niepodobna precudownych witraży czy organów. Samo piękno...

W półmroku kościoła, w jednym z bocznych ołtarzy znajduje się obraz namalowany przez Walentego Wańkowicza będący kopią Matki Boskiej Ostrobramskiej. A w jego dole litery układające się w napis „O Pani ku ratunkowi naszemu spiesz się”. To ten obraz sprowadził mnie do tej uroczej świątyni. Kościół Św. Seweryna to ulubiony kościół towiańczyków. A przed tym obrazem niejedną raz modlił się Adam Mickiewicz, a także i Juliusz Słowacki za swej bytności w kole Towiańskiego.

Siedząc w kościelnej ławce, w półmroku i ciszy tej świątyni, pod wzrokiem Matki Boskiej Ostrobramskiej, która spoglądała na mnie tak jak przed laty patrzyła na Nich, prawie że fizycznie doświadczałem ogromu tęsknoty tych modlących się tu przed dziesiątkami lat i całkowicie rozumiałem ich zafascynowanie ideami Towiańskiego. W tamtym bowiem czasie, tylko cud mógł spowodować ich powrót do Polski. Stąd też słowa Poety : „*Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono*”.

\*

22 lipca 1834 r. Poeta brał ślub z Celiną Szymanowską. Wydarzenie to miało miejsce w kościele Saint-Louis d'Antin mieszczący się w kwadracie ulic rue de Caumartin, Saint-Lazare, du Havre i de Provence. Brak w nim kościelnych ławek. Zastępują je zwykłe tandetne krzesła. A mimo to siedząc przed ołtarzem z obrazem Ukrzyżowanego doświadcza się obcowania z historią i legendą. To tu, przed tym samym Ukrzyżowanym stał On i przysięgał... Pannę młodą prowadził do ołtarza Julian Ursyn Niemcewicz. Po ślubie państwo młodzi zamieszkali nieopodal tego kościoła przy rue de la Pépiniere pod numerem 121.

Po kilku miesiącach małżeństwo Mickiewiczów zmieniło lokum i zamieszkało przy rue des Batignolles. Ta ulica to przecznica bulwaru des Batignolles. Ulicę, a nie bulwar zamyka małeńki kościółek Saint-Marie-des-Batignolles. W tym kościółku Adam chrzczył swoje dzieci. Tuż przed świątynią rozpościera się małeńki jak i ona Place du Docteur F. Lobligeois, a po jego prawej stronie znajduje się rue Lamande. Na niej zaś jest od 1842 r. Szkoła Polska nosząca dziś imię Adama Mickiewicza. Na jej dziedzińcu pomnik przedstawiający chłopca piszącego słowa:



Kościół, w którym Adam Mickiewicz chrzczył swoje dzieci. Fot. Z. Wojtczak

„Młodzież polska na tułactwie wychowana DOBROCZYŃCOM swoim...”. Z lewej strony pomnika jest czarna granitowa tablica, a na niej nazwiska Dobroczyńców. Wśród nich na trzecim miejscu nazwisko Wieszcza.

Czytelnicy pozwolą na osobisty wątek. Na placu doktora Lobligeois jest równie mikroskopijna, jak sam plac i kawiółek, kawiarenka L'Endroit. Przy niej na chodniku paryskim zwyczajem wystawiono kilka stolików. Spędziłem przy nich sporo czasu. Pewnego razu zasiadłem się tam do późnego popołudnia i oprócz tradycyjnej kawy wypilem kieliszek czerwonego wina, a może i ciut więcej aniżeli jeden i mimo, że powoli zaczęło się zmierzchać nie chciało mi się wracać do hotelu. I wtedy ujrzałem Go, jak powoli wychodził z ulicy des Batignolles i zmierza, jakby zmęczony, w kierunku rue Lamande. Szedł w swojej wytartej pelerynie Pielgrzyma, z kosturem w ręku, który delikatnie wystukiwał o chodnik rytm jego kroków, lekko pochylony, dokładnie taki jak na pomniku stojącym na brzegu Sekwany dłuta Pierre'a Bourdelle'a... Zamyślony minął mnie bez słowa i zniknął... Czy w tym moim „widzeniu” było coś niezwykłego? Nazwę kawiarni, w której siedziałem można przetłumaczyć na „Miejsce”. Zaiste miejsce to jest jakby to powiedzieć, czarodziejskie, a więc i to co opisałem mogło tu zaistnieć.

A na poważnie. Pomnik Pierre Bourdelle pierwotnie stał na Placu Almy. Później ze względu na wymogi ruchu drogowego przeniesiono go na brzeg Sekwany. Może nawet i lepiej. Pewnego razu, gdy tam przechodziłem na głowie Wieszcza przysiadł paryski gołąbek. Ten obrazek wydawał mi się nadzwyczaj sympatyczny. Chciałem go uwiecznić. Gorączkowo wyjmowałem i przygotowywałem fotograficzny aparat. Ptak cierpliwie czekał...

\*

Mickiewicza w Paryżu gnębiły codzienne troski. Żona, później na dodatek chora, szóstka dzieci – skąd poeta miał brać pieniądze na ich utrzymanie? Stąd też rodzina Mickiewiczów w Paryżu przeprowadzała się, tak z grubsza szacując, co z dwadzieścia razy. Biografowie Poety żmudnie przez lata ustalali adresy jego kolejnych mieszkań. Większość z nich odwiedziłem. Zwyczajnie, raczej dalekie od przepychu i luksusów, paryskie domy. Rue Visconti, rue des Marais Saint-Germain 18, Saint Nicolas 73, rue Notre-Dame-



W tym domu powstawał „Pan Tadeusz”.

Fot. Z. Wojtczak

des Champs 73 czy rue du Val-de-Grace, gdzie urodził się Władysław Mickiewicz. Nie zdobią ich elewacji żadne tablice czy tabliczki. Czy jest w tym coś dziwnego? Myślę, że nie. Mickiewicz to przecież dla większości Francuzów niewiele znaczące nazwisko. A w Paryżu mieszkali przez wieki setki, jeżeli nie tysiące, wielkich tego świata. W sprawach ich upamiętniania miasto i ludzie w nim zamieszkujący rządzą się swoimi prawami. Raz lepszymi, a kiedy indziej jakby gorszymi. Może taki przykład. Nasza rodaczka Maria Curie-Skłodowska uważana jest we Francji za rodowitą Francuzkę. Powszechnie doceniana - czego najlepszym przykładem jest święte miejsce Francji – Panteon, gdzie spoczywa. Zamieszkiwała zaś Maria Curie-Skłodowska długie lata na Wyspie Św. Ludwika przy nadbrzeżu de Béthune pod nr 36. Upamiętniała to miejsce stosowna tablica, na którą nieraz spoglądałem. I podczas ostatniej bytności w Paryżu również tam zabłądziłem. Tablica zniknęła. Dom także jakby jakiś inny. Myślałem, że coś pomyliłem. Uparcie szukałem w pobliżu. Ni śladu. W pobliskiej Bibliotece Polskiej zasięgnąłem w tej sprawie informacji. I okazało się, że współczesny właściciel odnawiał elewacje budynku i tablicę usunął. Na nic zdały się wszystkie interwencje dyrekcji Biblioteki. Tablicy nie ma i prawdopodobnie nie będzie. Przykład z tej samej wyspy Św. Ludwika. Mieści się tam budynek dawnego Hotelu Lambert. Miejsca gdzie bywali wszyscy liczący się Wygnańcy z Polski, gdzie koncertował Szopen, miejsce o którym wspominają nawet najbardziej lapidarne w swej treści podręczniki polskiej historii, nie upa-

miętnia najmniejszy nawet znak. Mało tego budynek kupił jakiś arabski szejk i zamierza urządzić w nim luksusowy... hotel. Protestuje polska ambasada, interweniuje nasze Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Na razie bez rezultatu...

Moje szukanie tablicy upamiętniającej zamieszkiwanie w Paryżu Marii Curie-Skłodowskiej, przyniosło jednak i pozytywny rezultat. Pamiętając słowa Poety „O czym tu dumać na paryskim bruku” od kilku już lat szukałem chociaż odrobiny tego bruku w śródmieściu Paryża. Nigdzie nie było go ni śladu. Wszystkie zalane asfaltem, wypełnione polbrukiem... A wtedy znalazłem. Na wyspie Św. Ludwika całe Quai d'Anjou pokryte jest starym brukiem. Czy bywał tu Mickiewicz? Wielce prawdopodobne. Niejeden raz odwiedzał przecież Hotel Lambert czy Bibliotekę Polską. A to zaledwie kilka kroków od nadbrzeża d'Anjou.

\*

Wracając jeszcze do miejsc związanych z Adamem Mickiewiczem niepodobna nie wspomnieć o dwóch. Pierwsze to mieszczący się przy rue Sully Arsenał. Po nieudanej próbie stworzenia Legionu Polskiego we Włoszech Poeta wrócił do Paryża. Znow był w finansowych tarapatach. Podjął więc próbę mającą na celu otrzymanie jakiegoś stanowiska dającego w miarę regularne dochody i mieszkanie. No i udało się. W roku 1852 dano mu stanowisko bibliotekarza i mieszkanie w paryskiej bibliotece Arsenалу. Przechodząc tamtędy i patrząc na dwupiętro-



► wy, prostokątny budynek Arsenału pamiętajmy, że Poeta trzykrotnie w tygodniu odbywał tu dyżury za niewielkie w sumie pieniądze, że pracował jak sam twierdził „uczciwie i starannie ale... niechętnie”. Jak twierdzi Mieczysław Jastrun w swej monografii czuł się tu jak galer-  
nik...

Kolejnym miejscem związanym z pobytami Mickiewicza w Paryżu jest College de France. 10 sierpnia 1840 r. dwie Izby Zgromadzenia Narodowego przyjęły projekt utworzenia przy tej paryskiej uczelni katedry języka i literatury słowiańskiej, a kilka tygodni później król Ludwik Filip podpisał nominację naszego Wieszcz na profesora. Ta życzliwość francuskich władz była powodowana chęcią udzielenia pomocy Poecie w jego trudnej sytuacji finansowej. Pierwszy wykład Mickiewicz wygłosił 22 grudnia 1840 r. Ostatni natomiast 28 maja 1844 r. Rozwiązano z nim, jakbyśmy to dziś określili, stosunek pracy, ponieważ rząd francuski nie życzył sobie propagowania za pieniądze francuskiego podatnika irracjonalnych idei Andrzeja Towiańskiego, co nasz Wieszcz ochoczo czynił. Do dziś jednak na marmurowych tablicach na wewnętrznym dziedzińcu College de France pośród nazwisk wykładowców widnieje nazwisko Poety.

College de France mieści się tuż przy Sorbonie. Kiedy tu zaglądam jestem zauroczony i zawiedziony. Zauroczony magią Uniwersytetu, różnobarwnym tłumem studentów, przepięknymi dziewczynami o wszystkich kolorach twarzy, roześmianymi i radosnymi, ściskającymi książki i skrypty, pijącymi kawę i wino w kawiarniach, których tu pełno, jakąś bliżej nie określoną atmosferą luzu, radości i wiedzy... A zawiedziony? Tym, że nie dane mi tu było przebywać, gdy byłem w ich wieku, że możliwość studiowania na Sorbonie w początkach lat sześćdziesiątych, a więc kiedy byłem studentem, była całkowitą abstrakcją, czymś czego nawet nie umiałem sobie wyobrazić.

**ZDZISŁAW WOJTCZAK**

\*) Adam Mickiewicz urodził się w Wigilię – 24 grudnia 1798r. w Zaosiu koło Nowogródka; w tym roku przypada 212 rocznica jego urodzin. Zmarł 26 listopada 1855r. w Stambule.



Warta przy grobie Tadeusza Lange „Szylinga”.

Fot. Teresa Masłowska

## Szlakiem akowskich mogił

**„Przeegraliśmy kampanię, ale wojna się dla nas nie skończyła. Zeszliśmy do podziemia i tak zaczęło się nasze okupacyjne życie”.**

18 września 2010 r. Góry Świętokrzyskie. Dzień ciepły i słoneczny – prawdziwa złota polska jesień. W południe wyruszyliśmy w II Marszu Pamięci spod „Kropki” - wzgórza, w pobliżu którego stacjonowali żołnierze Armii Krajowej dowodzeni przez legendarnych cichociemnych Jana Piwnika „Ponurego” i Eugeniusza Kaszyńskiego „Nurta”. Wielu z tych młodych chłopców straciło tam życie, ich krew wsiąkała w tę ziemię, a symboliczne groby znaczą leśny szlak.

### ŚMIERĆ „SZYLINGA”

Pierwszy grób Tadeusza Lange „Szylinga” z plutonu ochronnego „Ponurego”. Lange pochodził z Poznania, ale rodzina jeszcze przed wojną przeniosła się za chlebem do Skarżyska Kamiennej. Tadeusz zbiegł z robót przymusowych w Lipsku i z bratem Zbigniewem wstąpił do AK. Niemcy kilka razy urządzali oblavy

na akowców na Wykusie. Trzecia wskutek zdrady była najsilniejsza – okupant rzucił 3 tysiące żołnierzy, których wsparły lotnictwo i artyleria. Zginęło wtedy ponad 30 żołnierzy, wśród nich Lange, który miał 22 lata. Chwila modlitwy i skupienia, młodzież zapaliła znicze ku jego pamięci.

„Wydawało się, że ten dzień minie spokojnie. Doświadczenie ubiegłych miesięcy wskazywało, że oblavy Niemcy rozpoczynają dzień wcześniej wieczorem, do lasu zaś wejda o świcie... Nagle nad obóz nadleciały niespodziewanie samoloty i jednocześnie z kilku kierunków wybuchła gwałtowna strzelanina z broni maszynowej... „Nurt” swoją postawą podtrzymuje nas na duchu... Z druzyny ochronnej zginął „Kolcik” – Julian Świtek, ranni zostali strz. „Szyling” – Tadeusz Lange oraz „Poranek” – Józefa Wasilewska. Ranny Szyling widząc, że nie ujdzie wrogom,

pozbawia się życia wybuchem własnego granatu”.

Tegoroczna powódź dała się we znaki także Górcom Świętokrzyskim. Schodziliśmy gęsiego stromą skarpią, obok głębokiego urwiska, którym rwała woda, porywając ze sobą drzewa. Błoto, miejscami grzęzawisko, bez górskich butów ani rusz. Szliśmy kilkadziesiąt osobową grupą: okoliczni mieszkańcy, młodzież z wielkopolskich szkół, bardzo sympatyczny siostrzeniec mjr. Jana Piwnika – Mieczysław Sokołowski z Gdańska, ceniony historyk – autor słynnej publikacji „Wachlarz” - dr Cezary Chlebowski, żołnierze AK w tym por. Maria Krzyżańska i por. Janusz Wawrzyniak z Poznania, którzy działali w Obwodzie Piotrkowskim AK. Naszym przewodnikiem i prowadzącym uroczystość był Szczepan Mróz, prezes Świętokrzyskiego Stowarzyszenia Zgrupowań Partyzanckich AK „Ponury” – „Nurt”, zwany „strażnikiem partyzanckiej historii”.

### „TYLKO W POLU BIAŁY KRZYŻ”

Następny partyzancka mogiła - Mariana Cieśli, ps. „Mietek”. Prosty krzyż, na kamieniu nazwisko, zgrupowanie i data śmierci. OrleTA AK już stanęły wartą przy grobie, osobiście wolałabym w tym miejscu harcerzy, bez drewnianych atrap karabinów. Cieśla służył w ochronie radiostacji „Jacka”, zginął w tej samej obławie, co Lange. Nic więcej o nim nie wiem. Na tej polanie akowcy mieli obóz do jego zniszczenia przez Niemców latem 1943 r. Po tym przeniesli się na trudno dostępną „Kropkę”.

Świętokrzyskie góry, wędrowka przez gęste lasy przypomniły mi o ojcu, który też był w lesie, tyle że na Wileńszczyźnie w 8 Oszmiańskiej Brygadzie AK. Tak naprawdę nigdy z tego lasu nie wyszedł. Godzinami opowiadał o bitwie pod Grauzyszkami, po której puścili Litwinów w kalesonach, o walkach o Wilno w operacji Ostra Brama, o tym jak pod zmienionym nazwiskiem wstąpił do II Armii WP. Wojnę przedstawiał jako wielką przygodę niczym w „Czterech pancernych”. Dużo później, już po śmierci ojca, odkryłam rewers „jego” wojny. Prawdopodobnie był w drużynie wykonującej wyroki na zdrajcach, bezpieka szukała na niego haka,

nie dając spokoju przez wiele lat. Ale o tym nigdy nie mówił. Podążając śladem świętokrzyskich partyzantów zapragnęłam przejść podobną drogę szlakiem ojca na Kresach.

Na Wykusie dołączyli Janusz Wawrzyniak i Maria Krzyżańska, którzy pokonali tę drogę dżipem: „- Pani Tereso, jestem zachwycona, ale jazda była! Pruliśmy na przełaj, rzuciło nami na wszystkie strony”. Pani Maria jest pełną wigoru kobietą, wyobrażam sobie jakim wulkanem energii musiała być w partyzantce.

Wykus jest miejscem szczególnym dla mieszkańców Świętokrzyskiego. Tam obozowali powstańcy styczniowi z dowódcą Marianem Langiewiczem. W II wojnę światową Wykus

dał schronienie żołnierzom mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala”, potem porucznika „Nurta”. Po wojnie wdzięczni ludzie pobudowali tam kapliczkę z Matką Boską Bolesną, otoczyli murem, umieścili nazwiska poległych akowców. Tabliczek wciąż przybywało, dzisiaj jest ich kilkaset z nazwiskami zmarłych żołnierzy „Ponurego” i „Nurta”.

### „BIAŁY KOŃ ANDERSA”

W pewnym momencie przyłączył się do nas biały koń z dumną amazonką. Zaraz też skojarzył mi się z generałem Andersem, który miał wrócić na białym koniu i przynieść wolność. ➔



Kapliczka Matki Bolesnej na Wykusie.

Fot. Teresa Masłowska





W drodze do grobu Mariana Cieśli „Mietka”.

Fot. Teresa Masłowska

▶ Dalej poszliśmy do grobu Ludmiły Bożeny Stefanowskiej, ps. „Zjawa” z oddziału porucznika Jerzego Stefanowskiego „Habdanka”. Harcerka, piękna, wysportowana dziewczyna. Ona też poległa 28 października. Miała zaledwie 19 lat.

„Nie bez strat wyszedł z tego również por. „Habdank”. Na żandarmów natknął się przypadkowo. Walił do Niemców z peemu, a jego żołnierze, jak na komendę, otworzyli ogień z całej posiadanej bro-

ni, po czym natychmiast odskoczyli. Żandarmi, aczkolwiek zaskoczeni, ruszyli w pościg gęsto strzelając. Padł zabity strz. „Kapturek” – Stanisław Drózd, a siostra „Habdanka”, strz. „Zjawa” – Bożena Stefanowska, została ciężko ranna. Nie widząc dla siebie ratunku wystrzałem w usta pozabawiła się życia”.

Ostatni grób. Nikt nie wie jak zginął Feliks Madej, w jakim oddziale walczył, wiadomo tylko, że śmierć spotkała go, gdy miał 41 lat. Powoli kończył się marsz, zbliżyliśmy się do

Wycieczka młodzieży z wielkopolskich szkół po historycznych miejscach odbyła się w dniach 17-19 września 2010 r. Wiodła szlakiem Piotrków Trybunalski-Starachowice-Wykus-Wąchock. W Piotrkowie młodzi ludzie spotkali się z byłymi żołnierzami AK: gen. Stanisławem Burza-Karlińskim, mjr Haliną Bazylewicz i łączniczką i sanitariuszką Wacławą Kamieńską. Wieczorem w starachowickim domu kultury obejrzeli wystawę poświęconą mjr. Marianowi Świdierskiemu oraz nakręcony o nim dokumentalny film. W sobotę odbył się II Marsz Pamięci - śladami partyzanckich grobów. W niedzielę w klasztorze OO Cystersów w Wąchocku odprawiono uroczystą mszę św. w intencji mjr. Świdierskiego. Uroczystości zorganizowało Stowarzyszenie Pamięci Świętokrzyskich Zgrupowań Partyzanckich Armii Krajowej „Ponury” – „Nurt” oraz Towarzystwo Dawida Rubinowicza z Bodzentyna. Wyjazd, dotowany przez Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego, zorganizowała i koordynowała nauczycielka Małgorzata Wiater z V LO w Poznaniu. Uczestniczyli w nim uczniowie i nauczyciele z poznańskich liceów: III, V, VIII i Sióstr Urszulanek oraz gimnazjaliści z Krotoszyna, Środy Wlkp. i Szamotuł. Młodzieży towarzyszyli akowcy: por. Maria Krzyżańska, wiceprezes ZO „Wielkopolska” SZŻAK oraz por. Janusz Wawrzyniak, prezes Środowska „Jodła” SZŻAK, którzy w okupację działali w Obwodzie Piotrkowskim AK. (tm)

„Kropki”. Mężczyzna idący obok zauważył, że tutaj ludzie „Ponurego” likwidowali konfidentów i zdrajców. Po co mieliby wlec ich do lasu, zamiast utłuc na miejscu – zapytałam z niedowierzaniem? A potem znalazłam potwierdzenie jego słów w książce mjr. Mariana Świdierskiego. Na „Kropce” czekała grochówka, pieśni partyzanckie i długie Polaków rozmowy przy ognisku.

### ŻYCIE NA SCENARIUSZ

W niedzielę w kościele cystersów w Wąchocku akowska msza św. w intencji mjr. Mariana Świdierskiego „Dzika” z okazji jego setnych urodzin. W nabożeństwie uczestniczyły poczty sztandarowe, m.in. młodzież wielkopolska ze sztandarem Okręgu „Wielkopolska” SZŻAK. Ojciec Marian oprowadził nas po klasztorze, zaznając z historią XII wiecznego opactwa. W 1987 r. w ścianie klasztoru spoczęły szczątki majora Piwnika. Jego życie jest gotowym scenariuszem na film, którego nie sposób opisać w kilku zdaniach. Warto podkreślić jednak, że uczestniczył w kampanii wrześniowej, zrzucony do kraju jesienią 1941 r., działał w organizacji dywersyjnej „Wachlarz”, walczył w Górach Świętokrzyskich, potem w Okręgu Nowogródek. Tam zginął 16 czerwca 1944 r. w potyczce z Niemcami pod wsią Jewłasze. Jego żoną była Emilia Malessa, „Marcysia”. Tragiczna postać. W 1945 r. aresztowana przez UB, na rozkaz szefa Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość płk. Jana Rzepeckiego, ujawniła członków WiN-u po „oficerskim słowie honoru” szefa MBP Józefa Różańskiego, że nie stanie się im nic złego. Oczywiście безпеaka wszystkich aresztowała, a środowisko akowskie uznało Malessę za zdrażczynię. Z rozpacz popłynęła samobójstwo w 1949 r. Na terenie wąchockiego klasztoru znajduje się duża tablica poświęcona kapitan Emilii Malessie.

### TERESA MASŁOWSKA

\* Cytaty pochodzą z książki mjr. Mariana Świdierskiego „Wśród lasów, wertepów” Bodzentyn 2010



# „Ronc” na górskiej ścieżce

**W** życiu potrzebuje my celów, ideałów do których może my dążyć, dopiero wtedy życie jest pełne. Dla mnie treścią i sensem są góry, mają w sobie magnetyzm, przyciągają mnie, odczuwam bezustanną potrzebę wracania do nich – mówi Krzysztof „Ronc” Raglewski, alpinista z Kościana.

## Skok na głęboką wodę

Miłość do gór zaszczerpił w Krzysztofie ojciec. Całą rodzinę zabierał na górskie szlaki, schodzili Sudety, Karpaty, Góry Świętokrzyskie. W liceum już samodzielnie odkrywał góry. Pierwszy wyjazd zorganizował z kolegami; zaplanowali trasę, spakowali plecak i pojechali szukać przygody.

Od schroniska do schroniska przeszli Beskid Śląski i Żywiecki. Wtedy zrozumiał, że to czego w życiu szuka, to górską wędrówką, z której czerpie radość i satysfakcję.

Na studiach pierwszy raz wyjechał w góry za granicę. Z dwójką przyjaciół Krzysztofem Klapczyńskim i Michałem Mockiem wybrali się na Bałkany. Ponad miesiąc przemierzali rumuńskie Fogarasze, bułgarską Starą Słaninę i Riłę oraz grecki Masyw Olimpu. W Beskidach zrozumiał, że chce wędrować po górach, na Bałkanach uświadomił sobie, że chce zdobywać coraz wyższe i trudniejsze szczyty. Często wyjeżdżał w Tatry, by zdobyć jak największe doświadczenie, nauczyć się poruszać w górach, opanować technikę wspinaczkową. W końcu uznał, że jest gotowy zmierzyć się z dużymi górami...

Na pierwszy sprawdzian wybrał Elbrus – najwyższy szczyt gór Kaukazu (5642 m n.p.m.). - Wielu uważa ją za łatwą górę, jednak wszystko zależy od warunków zewnętrznych i możliwości alpinisty – mówi „Ronc”. - Dla mnie była ogromnym wyzwaniem. Z kolegami rzuciliśmy się na głęboką wodę, szczerze mówiąc okazało się, że byliśmy nieprzygotowani do takiej wyprawy; nie umiałem używać raków, ani posługiwać się czekanem. Mieliśmy mało profesjonalnego sprzętu, kiepski namiot, a czekany pożyczaliśmy w bazie od spotkanych ludzi. Dziś śmieję się, że pojechaliśmy w trójkę na Kaukaz w dwóch parach butów – dodaje.

Początkujący alpinści mieli dużo szczęścia.

W podróży z Polski przez Białoruś i Rosję zaprzyjaźnili się





z parą białoruskich wspinaczy, którzy wzięli młodszych kolegów „pod swoje skrzydła”. Złatwili pozwolenia wejścia do strefy przygranicznej i parku, dali cenne wskazówki jak poruszać się po lodowcu, jak używać czekana i raków. Ze względu na braki w obuwiu szczyt zdobywali na raty. Pierwszy górę zdobył Andrzej „Małek” Małkowski, potem „Ronc” i „Klapa”. Ta ekstremalna wyprawa – lodowiec, silne wiatry - nie odstraszyła „Ronca”, wręcz przeciwnie, po powrocie już myślał o następnym wyzwaniu. Był nim Pik Lenina (7134 m n.p.m.) (obecnie Pik Awicenny – dop. red.), który leży w Pamirze na granicy Tadżykistanu i Kirgizji. Pierwszy atak na szczyt nie powiódł się, przerwali wyprawę na wysokości 6300 m n.p.m. Po drodze spotkali poturbowanego chłopaka, który spadł ze znacznej wysokości i połamał nogi. Znieśli go do bazy, ale nie mieli już sił na dalszą wspinaczkę. Było im żal, wiedzieli jednak, że podjęli słuszną decyzję. Dla Krzysztofa była to cenna lekcja, zrozumiał, że cel nie może przesłonić drugiego człowieka. - Chodzenie po górach bardzo się skomerjalizowało. Ideały i wartości jakie niesie ze sobą himalaizm i alpinizm gdzieś się w tym wszystkim zatraciły. Ludzie często ciężko pracują, by wyjechać w podróż życia, a kiedy dużo zapłacą za wyprawę nie interesuje ich nic innego tylko zdobycie szczytu. W Pamirze 13 osób, które wspięło się przed nami, nie pomogło temu chłopakowi. Zostawili go na szlaku...

### **Matterhorn działa na wyobraźnię**

„Ronc” przeszedł najważniejsze szlaki górskie Europy, zdobył m.in. Mont Blanc (4807 m n.p.m.) czy Matterhorn (4478 m n.p.m.). Ten ostatni zachwyił go swoim pięknem. - Ostatnio bardziej pasjonują mnie góry o interesującym kształcie, na szczyt których prowadzi niebanalna trasa. Góra musi mnie zauroczyć. Tak właśnie było w przypadku szczytu Matterhorn w Alpach Szwajcarskich. Nie jest to góra najwyższa, ale trudna technicznie. No i zachwyca, działa na wyobraźnię.

Kolejnym pasmem na koncie wędrowek Krzysztofa są Pireneje. Łańcuch o długości 450 km rozciągający

się między Morzem Śródziemnym a Zatoką Biskajską, z ponad dwustoma szczytami przekraczającymi 3000 m n.p.m. Samotne przejście Pirenejów zajęło Krzysztofowi 35 dni. Zaraz po powrocie zaczął szukać nowych, podobnych wyzwań. Wybór padł na Korsykę i jeden z najtrudniejszych szlaków trekkingowych w Europie – trasę GR 20. Z dwójką znajomych postanowili jesienią przemierzyć wyspę z północy na południe. Tam zaskoczyła ich zima, a gęsto padający śnieg i silne wiatry zmusiły do przerwania wyprawy. Wcześniej jednak udało im się zdobyć najwyższy szczyt Korsyki Monte Cinto (2706 m n.p.m.). Alpinści zmuszeni zostali do spędzenia kilku nocy w schronisku. Wówczas to Krzysztof odebrał telefon z Polski, dzwoniła koleżanka z biura sprzedaży biletów lotniczych. Po chwili stał się posiadaczem biletu do... Santiago de Chile.

### **Radość i strach w Chile**

Jak zwykle zorganizował całą wyprawę – co wychodzi taniej - na własną rękę. 1 lutego tego roku wyleciał do Ameryki Południowej, dokładniej do Chile, a stamtąd przedostał się autobusem do prowincji Mendoza w Argentynie. Celem wyprawy była Aconcagua (6962 m n.p.m.) – najwyższy szczyt obu Ameryk. Na miejscu dołączył do zespołu „Aconcagua 2010” – grupy pasjonatów z różnych miast Polski. 19 lutego po zaaklimatyzowaniu się z kolegą z zespołu Pawłem Grzegorzycykiem stanął na szczycie. Wspinaczka była ciężka, warunki pogodowe trudne, a jednak udało się. Wielka radość. Kolejne – długo odkładane – marzenie spełniło się, kolejna góra z Korony Ziemi zdobyta.

„Ronc” odpoczywał i czekał na powrót do Polski. 28 lutego miał wylecieć z lotniska w Santiago de Chile. Dzień wcześniej Chile nawiedziło ogromne trzęsienie ziemi. - Pierwszy wstrząs, ten najsilniejszy, przeżyłem nad Oceanem w miejscowości Maintecillo. Czułem raczej zaskoczenie niż strach. Domek, w którym nocowaliśmy był lekkiej, drewnianej konstrukcji. Strach poczułem dopiero w Santiago, kiedy zobaczyłem domy w gruzach, zniszczone drogi. Na lotnisku chaos, odwołane loty, zamknięte lotnisko... Nocowałem w sześciopiętrowej kamienicy u znajomych, wciąż odczuwaliśmy wstrząsy wtórne. Dziwne uczucie, gdy przebywa się w budyn-

ku, który się chwieje i za chwilę może runąć. Na wszelki wypadek zabrałem, by mieć przy sobie dokumenty identyfikacyjne, założyłem czółówkę...

Z garstką znajomych z wyprawy desperacko chcieli wydostać się z Chile. W ostatniej chwili złapali międzynarodowy autobus do Buenos Aires i udali się w ponad osiemnastogodzinną podróż w poprzek kontynentu. Ryzyko opłaciło się, 4 marca wylecieli z Argentyny, przez Madryt i Londyn wrócili do Polski.

### **Powrót w Pamir**

Przeżycia w Ameryce Południowej nie zniechęciły Krzysztofa do dalszych wypraw. A wręcz przeciwnie. Czuł zew przygody. Tęsknił do podróży w dalekie i dzikie miejsca, wysokie góry. Już w czerwcu br. wspólnie z Rafałem Niedosiałem wyruszył w kolejną podróż. Cel - zdobycie góry Eugenii Korzeniewskiej (7106 m n.p.m.) - trzeciego co do wysokości szczytu Pamiru. Wylecieli z Warszawy, z międzyrządowaniem w Rydze, by dotrzeć do Duszanbe, stolicy Tadżykistanu.

Plan wędrowki był przygotowany. Jednak i tym razem nie obyło się bez kłopotów. Największe problemy sprawiła im tadżycka biurokracja. „Ronc” z kolegą chcieli zdobyć górę tak jak robiło się to dwadzieścia, trzydzieści lat temu. Trasa, którą zamierzali odbyć wyprawę i dostać się na szczyt jest już w zasadzie nieuczęszczana. To piesza wędrowka wiodąca przez dolinę rzeki Mykcy. Odkąd Rosjanie zaczęli organizować komercyjne wyprawy, wspinacze z reguły omijają tę trasę i przedostają się helikopterem do bazy na lodowcu Moskvina (4200 m n.p.m.). Jednym z motywów wyboru tej właśnie drogi był aspekt finansowy. - Transport lotniczy jest bardzo kosztowny - mówi Ronc. - Z dostaniem się na miejsce nie było problemu. Zadanie mieliśmy ułatwione dzięki mojemu serdecznemu koledze - Julkowi z Warszawy, który pracował wcześniej przez kilka lat w Duszanbe w organizacji pozarządowej. Tam poznał wielu serdecznych ludzi, między innymi tadżyczkę Mikę. Skierował nas do rodziny Miki i Dalera. Dzięki ich dobrej woli i gościnności wiele spraw było dla nas łatwiejsze.

Nazar, ojciec Dalera, zaoferował im swoją pomoc i samochodem zabrał do doliny. Podróż do granicy Parku trwała dwa dni. Dopiero na miejscu dowiedzie-

li się, iż nie mają specjalnych pozwoleń umożliwiających poruszanie się w strefie przygranicznej. W tym czasie w sąsiadującej Kirgizji wybuchł konflikt między Uzbekami a Kirgizami, a dolina właśnie była drogą do Kirgizji. Granica była zamknięta.

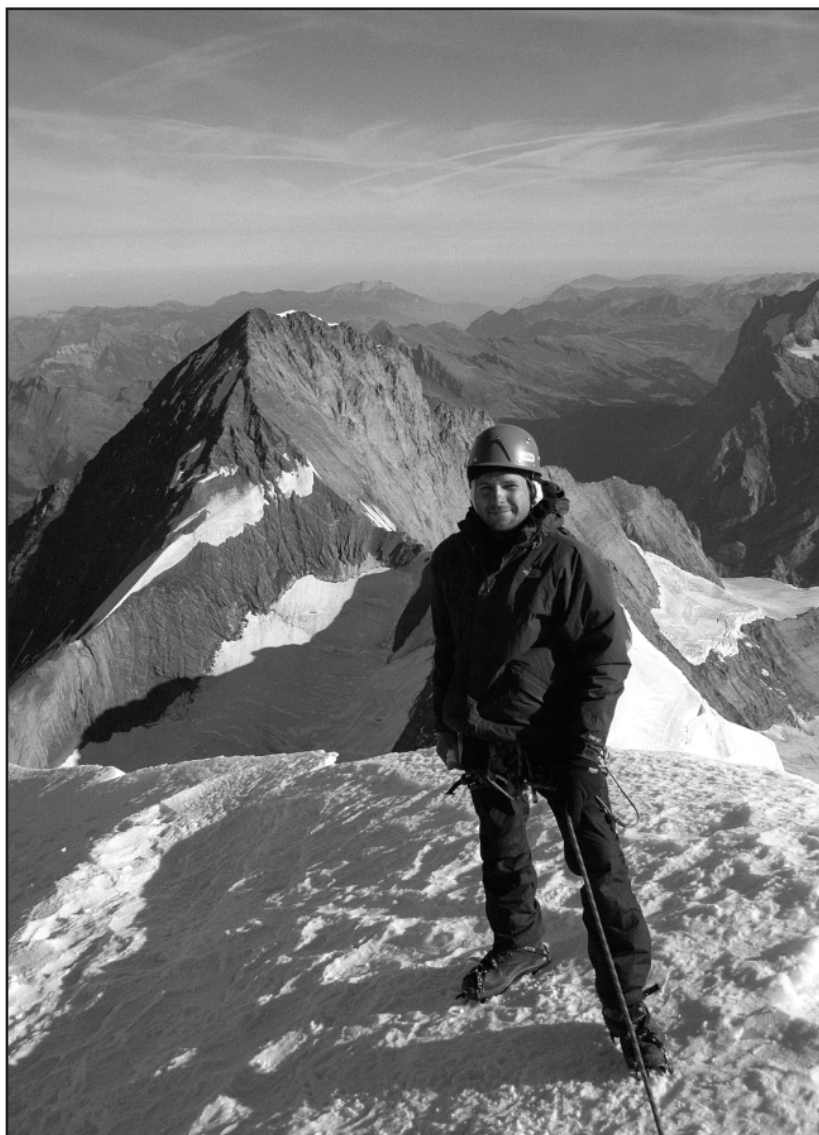
- Możesz wyobrazić sobie nasz dramat? Jesteś na miejscu po tylu dniach podróży i musisz się cofnąć. A czas ucieka... Żołnierze skierowali nas do bazy wojskowej w Dżergathol, a stamtąd tadżycki major po pozwoleniu do Duszanbe. A to był początek problemów. Używanie stosownych dokumentów okazało się strasznie skomplikowane. Po kilku dniach wrócili do parku tu okazało się jednak, iż brakuje ludzi i mułów, co jest raczej niezbędne przy dźwiganiu całego sprzętu. Tamtejsi Tadżycy zajmują się przede wszystkim poszukiwaniem złota. Jest to bardziej opłacalne i dzieje się „za cichym przyzwoleniem żołnierzy” – tłumaczy „Ronc”. W tej sytuacji zmuszeni byli dźwigać plecaki, żywność, sprzęt i namiot samodzielnie. Niestety podróż ta okazała się ekstremalnie ciężka. Głównym problemem na trasie okazał się brak wody pitnej. Co prawda przepływa tamtędy rwąca rzeka. Woda jednak nie nadaje się do picia.

- Maszerowaliśmy dwa dni bez wody. Byliśmy wykończeni. Nie wiedzieliśmy, co robić - iść dalej czy cofnąć się. W końcu podjęliśmy decyzję o powrocie. Nie wiem czy określić ten wyjazd jako klęskę - zastanawia się Krzysztof. - Co prawda nie udało nam się przejść doliny i dotrzeć do szczytu, mimo wszystko jednak wyjazd ten wiele mnie nauczył.

### Kolejne wyzwania

Po Azji przyszedł czas na Europę, a ściślej mówiąc Andorę. Celem było przejście granicą wzdłuż granicy państwa. To trasa, której nie pokonał jeszcze żaden Polak. „Ronc” zaplanował wyprawę na 14 dni. Czas ten jednak okazał się zbyt krótki. W stuprocentowej realizacji planu przeszkodziła pogoda. Wyprawa jednak zwieńczona została zdobyciem najwyższego szczytu Coma Pedrosa (2946 m n.p.m.).

Kolejny długodystansowy szlak – Korsyka trasa GR20. Tym razem był to właściwie powrót i próba ponownego zmierzenia się z korsykańskimi górami. W grudniu rok temu przepędziła ich



„Ronca” urzekły góry.

Fot. z archiwum Krzysztofa Raglewskiego

zima. Wówczas postanowili, że tam wrócą. Tym razem z przyjacielem Markiem wybrał się na GR20 wczesną jesienią. Okazało się to strzałem w dziesiątkę. Pogoda była wspaniała, słoneczna. Los zrehabilitował się za wcześniejsze porażki i niepowodzenia. To jeden z piękniejszych szlaków górskich. Cała uroda i atrakcyjność korsykańskich gór jest właśnie w widokach i krajobrazach.

\*

Czy nie ma już dość? - Podróż w nieznaną jest przygodą, wielką niewiadomą, to mnie właśnie bardzo fascynuje, a w połączeniu z górami jest esencją tego, czego tak bardzo oczekuję od życia – braku schematów i szablonowości, dążę do spełniania marzeń.

Dla każdego człowieka kochającego góry największym marzeniem i wyzwaniem są Himalaje. - W przyszłości chciałbym stanąć na wysokości powyżej 8 tysięcy metrów. Mam nadzieję, że małymi krokami uda mi się osiągnąć cel.

### KATARZYNA ŻUREK

Krzysztof „Ronc” Raglewski. Kościaniak, absolwent miejscowego Liceum im. Oskara Kolberga oraz Politechniki Poznańskiej. Z wykształcenia inżynier budownictwa, z zamiłowania podróżnik i alpinista. Przemierzył Afrykę (Atlas), Azję (Kaukaz, Pamir), Amerykę Południową (Andy) oraz największe pasma górskie Europy (Alpy, Pireneje, Karpaty, Balkany). Aby zminimalizować koszty wszystkie wyprawy stara się zorganizować na własną rękę. Wyjazdy finansuje sam, głównie ze swoich pieniędzy oraz przy wsparciu ludzi życzliwych, którzy rozumieją jego pasję. W nadchodzącym roku planuje kolejne wyzwania – samotną półroczną wędrówkę trasą Via Alpina liczącą 2500km, która zaczyna się w Monako, biegnie przez całe Alpy i kończy się w Trieście. Wiosną w Muzeum Regionalnym w Kościanie planuje wystawę zdjęć z licznych wypraw. (kż)





Profesor Paradowska przygotowuje książkę o Wielkopolanach na szlakach świata.  
Fot. Teresa Masłowska

# Pierwszy kondotier Rzeczypospolitej

- Dla niego liczyło się tylko jedno, jak najlepiej walczyć, a po czyjej stronie, to była sprawa drugorzędna. Wiernie służył księciu Radziwiłłowi, po wygnaniu z kraju bił się pod francuską flagą, zaciągnął w szeregi holenderskiego wojska i wyjechał zdobywać kolonie w Brazylii, po latach wrócił do Polski, by mężnie walczyć z Tatarami i Kozakami – mówi profesor dr hab. Maria Paradowska.

Pisała pani o wybitnych Polakach za granicą: geologach – Edmundzie Strzeleckim i Józefie Zwierzyckim, inżynierach – Władysławie Folkierskim i Ernestie

Malinowskim, którzy budowali kolej w Ameryce Południowej. A żołnierz – najemnik, admirał wojsk holenderskich Krzysztof Arciszewski, jest postacią całkowicie inną od wymienio-

nych. Skąd zainteresowanie pierwszym polskim kondotierem?

- To nie ja go wybrałam tylko on mnie, a raczej wybrało go Wydawnictwo „Śląsk”, które zaproponowało mi napisanie książki o Arciszewskim. Nie wiele wtedy o nim wiedziałam, nie miałam pomysłu jak to „ugryźć”. Z początku nie był postacią z mojej bajki. Dopiero w miarę poznawania i odkrywania kolejnych kart jego życia zaczęłam mnie fascynować. Zresztą, bez zaciekawienia, nie mogłabym o nikim pisać. Wczułam się w tę postać, zaczęłam gromadzić materiały; sięgnęłam po Kraushara, który w XIX w. obszernie opisał żywot Arciszewskiego, także po fragmenty zapisków Arciszewskiego, zawierające opisy plemion brazylijskich, po elegie i listy. Krzysztof miał dar obserwacji i barwnego pisania, ale największą jego miłością było rzemiosło wojenne. Chciał być najlepszy. I - po prawdzie – był, i świetnym żołnierzem, i genialnym dowódcą, i znakomitym strategiem. Poświęcił na to całe życie.

**Arciszewski kochał wojaczkę i jakkolwiek to zabrzmie, prowadzenie wojny było dla niego sztuką samą w sobie.**

- Tak. Dla niego liczyło się tylko jedno, jak najlepiej walczyć, a po czyjej stronie, to była sprawa drugorzędna. Wiernie służył księciu Radziwiłłowi, po wygnaniu z kraju bił się pod francuską flagą, zaciągnął w szeregi holenderskiego wojska i wyjechał zdobywać kolonie w Brazylii, po latach wrócił do Polski, by mężnie walczyć z Tatarami i Kozakami. Niezależnie jakiemu panu służył zawsze angażował się całym sercem. Poza tym to były inne czasy. Śmierć czyhała na każdym kroku - przed wyjazdem na sejmik lubo inne zgromadzenie szlachcic spisywał ostatnią wolę, bo nie miał pewności czy wróci cały i zdrów. Szlachcic nie potrzeba było wiele, by wyciągnąć szablę, zabiła się przy różnych okazjach, często w obronie honoru...

**Na drodze ze Śmigła do Kościana Arciszewski zamordował człowieka, który wyludził majątek od jego ojca.**

- Zamordował? On uważał, że wymierzył sprawiedliwość, bo ofiara oszukała i skrzywdziła jego ojca. Za zabicie palestranta Kaspra Jaruzela Brzeźnickiego został skazany na banicję, ale wtedy zbrodnia była czymś mniej oburzającym niż dzisiaj. Pozbawianie życia,

choć spotykało się z karą, mieściło się jednak w normie kulturowej.

**Czy poza doskonaleniem umiejętności żołnierskich coś się jeszcze dla niego liczyło?**

- Wygląda na to, że nie było ważniejszej sprawy. Nie zważał zbytnio na poglądy religijne. Był arianinem, ale w przeciwieństwie do ojca nie brał sobie bardzo religii do serca. W swym 64-letnim życiu zdążył kilka razy zmienić wyznanie, by umrzeć najprawdopodobniej jako wyznawca kalwinizmu.

**A kobiety, pieniądze?**

- Kobiety też nie były w jego życiu zbyt ważne. Co prawda, Rusinek w swojej książce przypisuje mu jakąś kobietę, ale w swych poszukiwaniach nie dotarłam do źródła, które by potwierdziło jego słowa. Nigdy się nie ożenił. Nie obchodził go majątek. Podczas gdy inni wywozili statkami wielkie bogactwa, on nigdy o to nie zabiegał, chociaż okazji nie brakowało. Widać nie było mu to potrzebne do szczęścia. To był po prostu żołnierz. Na samym początku emigracji w Holandii, przymierając głodem, bez przerwy doskonalił się w rzemiośle wojennym. Uczestniczył w niezwykłych na tamte czasy eksperymentach, spacerował po dnie morza, dzisiaj można powiedzieć, że był jednym z pierwszych nurków na świecie...

**...drogo go zresztą ten spacer kosztował.**

- No tak, natknął się na trującą rybę, zadrasnął i ciężko zachorował. Nastąpiło zakażenie krwi z wysoką gorączką. Długo dochodził do siebie. Ale proszę nie myśleć, że skończył z podwodnymi wędrówkami.

**Prawdziwą karierę zrobił w Brazylii; pod jego dowództwem holenderskie wojska odnosiły sukces za sukcesem, żołnierze go kochali.**

- Do czasu aż pojawił się hrabia Nassau, który zaczął knuć. Myślę, że chodziło głównie o władzę. Nassau, człowiek wywodzący się z możnego rodu holenderskiego nie mógł zdzierżyć, że to nie on rządzi w koloniach. Arciszewskiemu raczej nie dorastał zdolnościami wojskowymi, więc go wykończył. Zrobił wszystko, by się go pozbyć. Po powrocie do Holandii Arciszewski był witany jak bohater, udekorowano go złotym łańcuchem, wybito nawet srebrny medal, kartograf zrobił mapę terenów, które on zdobył. To jednak nie

zmienia faktu, że później zmuszono go do upokarzającej i niesprawiedliwej dymisji. Czas pokazał, że bez tego genialnego dowódcy, Holendrzy zaczęli przegrywać i tracić zdobyte kolonie.

**W Brazylii Holendrzy wykorzystywali miejscowe plemiona do walk, które toczyli z Hiszpanami i Portugalczycami. Arciszewski zainteresował się ich życiem, systematycznie spisywał swoje spostrzeżenia. Wydaje się, że po rzemiośle wojennym poznawanie plemion Tapujów stało się jego drugą pasją. Czy te relacje były rzetelne?**

- O tak, kiedy Voss opublikował fragmenty opisów Arciszewskiego wywołały duże zainteresowanie w świecie naukowym. Potwierdzenie ich prawdziwości znaleźć można chociażby w pierwszym tomie Handbook of South American Indians – jest to wszech-

stronna publikacja w ośmiu tomach o Indianach Ameryki Płd. Plemiona, zwane umownie Tapujami, z początku zamieszkiwały głąb lądu, potem zostały wyparte przez inne plemiona na wybrzeże, wchodziły w skład wojsk dowodzonych przez Arciszewskiego. Zachowywały przy tym daleko idącą samodzielność - jak im się coś nie spodobało, jak nie chciały walczyć, wracały do buszu, a po pewnym czasie znowu walczyły u boku Holendrów.

**Admirał dość dobrze obchodził się z Tapujami, widział w nich ludzi, a nie małpy, jak to się powszechnie zdarzało u kolonizatorów.**

- To było bardzo częste, że Indian uważano - jak to określam za ludzi - ale o których pisze się z małą literą. Przecież Tapuja – pisało małą literą, tak samo India-



Portret Krzysztofa Arciszewskiego Michała Elwiro Androlliego.

Reprod. Teresa Masłowska



nie. Czy on traktował ich tak jak my obecnie? Pewnie nie, bo jednak podejście było wtedy inne, ale w każdym razie interesowali go i odnosił się do Tapujów po ludzku. Tym samym zdobył ich zaufanie do tego stopnia, że pozwolili mu przyglądać się najpilniej strzeżonym zwyczajom, np. wywoływaniu diabła. Przekonał się zresztą, że odpowiednio tego diabła czy ducha często się sprawdzały. Trzeba powiedzieć, że Polacy, zwłaszcza później w XIX w., kiedy spod zaborów wyjeżdżali do Ameryki Płd., np. Siemiradzki, Strzelecki pisali o Indianach z wielkim uznaniem i zrozumieniem. Uważali, że podobnie do Polaków są udęcczeni i pozbawieni wolności. Ale w XVII wieku w czasach Arciszewskiego sytuacja była inna.

#### **Tym bardziej zaskakuje jego podejście do Tapujów.**

- Prawdopodobnie zaważyło wyznanie. Z urodzenia był arianinem, a oni byli bardzo tolerancyjni. Co prawda niezbyt przywiązany był do arianizmu, bo potem łatwo zmieniał religię, ale wychowanie w arianńskiej rodzinie zrobiło swoje i zdążył przesiąknąć ich wartościami.

#### **Odwiedziła pani miejsca, w których żył?**

- Pamiętam, że z mężem jeździliśmy do Rogalina, miejsca jego urodzenia. Spacerowałam ścieżkami, nasiąkałam atmosferą, oddychałam tym miejscem. Żadnych wiadomości nie znalazłam, bo nic się nie zachowało, ale zyskałam coś ważnego - natchnienie. Rodzina Arciszewskich sprzedawała potem ten majątek i wyprowadziła się do Śmigła. Podążyłam jego śladem, szukałam na cmentarzu w Śmiglu grobów Arciszewskich - niczego nie znalazłam.

#### **Grobu Krzysztofa też nie ma.**

- Chciał być pochowany na cmentarzu zboru braci czeskich w Lesznie. Krewni przewieźli ciało z Gdańska, gdzie dokonał swoich dni, do leszczyńskiego zboru kalwińskiego. Czasy były niespokojne, traf chciał, że w nocy z 27 na 28 kwietnia 1656 r. w czasie odwetowego najazdu na miasto za sprzyjanie Szwedom, w Lesznie wybuchł pożar, który strawił część miasta. I wtedy spłonęła trumna z ciałem admirała.

**TERESA MASŁOWSKA**

\*

Prof. dr hab. Maria Paradowska ur. 9 czerwca 1932 r. w Poznaniu. Ojciec Marian Szenic był wybitnym pediatrą, matka Aniela z Sobeckich. Uczęszczała do poznańskiego Gimnazjum i Liceum Sióstr Urszulanek. W 1960 r. ukończyła etnografię na Uniwersytecie A. Mickiewicza. Potem obroniła doktorat i habilitowała się. W 1989 r. otrzymała tytuł profesora nauk humanistycznych. W latach 1964 – 2002 pracowała w Instytucie Archeologii i Etnologii Oddziału PAN w Poznaniu. W 2003 r. założyła Muzeum Bambrów w Poznaniu. Jest prezesem Towarzystwa Bambrów Poznańskich. Autorka dwudziestu książek, w tym: „Z Wielkopolski w świat”, „Polacy w Ameryce Południowej”, „Podróżnicy i emigranci. Szkice z dziejów polskiego wychodźstwa w Ameryce Południowej”, o Krzysztofie Arciszewskim: „Przyjmij laur zwycięski” i „Krzysztof Arciszewski. Admirał wojsk holenderskich w Brazylii”. Przygotowuje książkę o Wielkopolanach na szlakach świata. (tm)

\*

Krzysztof Arciszewski urodził się 9 grudnia 1592 r. w Rogalinie w Wielkopolsce. Jego ojciec Eliasz był szlachcicem i gorliwym arianinem, matką Helena z Zakrzewskich. Krzysztof uczył się w szkołach w Śmiglu i Frankfurcie n/Odrą. Przez rok służył księciu Krzysztofowi Radziwiłłowi, z którym walczył ze Szwedami w Inflantach. Po powrocie do Śmigła zastał rodzinę zrujnowaną finansowo, do której według niego przyczynił się Kasper Jaruzel Brzeźnicki. Arciszewski próbował wymusić od niego zwrot majątku, a kiedy to się nie udało zamordował. W 1623 r. był zmuszony opuścić kraj, udał się do Holandii. W Hadze studiował inżynierię wojskową i artylerię. Walczył w wojnie trzydziestoletniej, najpierw w obronie Bredy, następnie z Francuzami zdobył La Rochelle. W listopadzie 1629 r. zaciągnął się w szeregi Kompanii Zachodnioindyjskiej jako dowódca kompanii. Rok później wyładował w Brazylii, gdzie dla Holendrów walczył o kolonie z Hiszpanią i Portugalią. Wstąpił się wielkim męstwem i odwagą; zdobycie wyspy Itamarika przyniosło awans na majora. Opuścił Brazylię, by po roku wrócić w stopniu pułkownika i zastępcy dowódcy naczelnego dowódcy Schkoppego. Przez kilka lat z powodzeniem podbijał kolejne ziemie Brazylii. W 1637 r. mianowany wicegubernatorem holenderskiej kolonii w Brazylii, jednak wskutek konfliktu z hrabią Maurycym de Nassau-Siegen zmuszony był opuścić Brazylię. Arciszewski spisał obszernie relacje o życiu i zwyczajach plemion brazylijskich, zachowały się tylko ich fragmenty. W 1647 r. wrócił do Polski. Dowodził m.in. obroną Lwowa w czasie powstania Chmielnickiego. Po zawarciu niekorzystnego traktatu z Chmielnickim odszedł z wojska, zamieszkał u rodziny koło Gdańska, gdzie zmarł pod koniec kwietnia 1656 r. Jest autorem traktatu medycznego „O leczeniu podagry” oraz kilku utworów poetyckich. (tm)

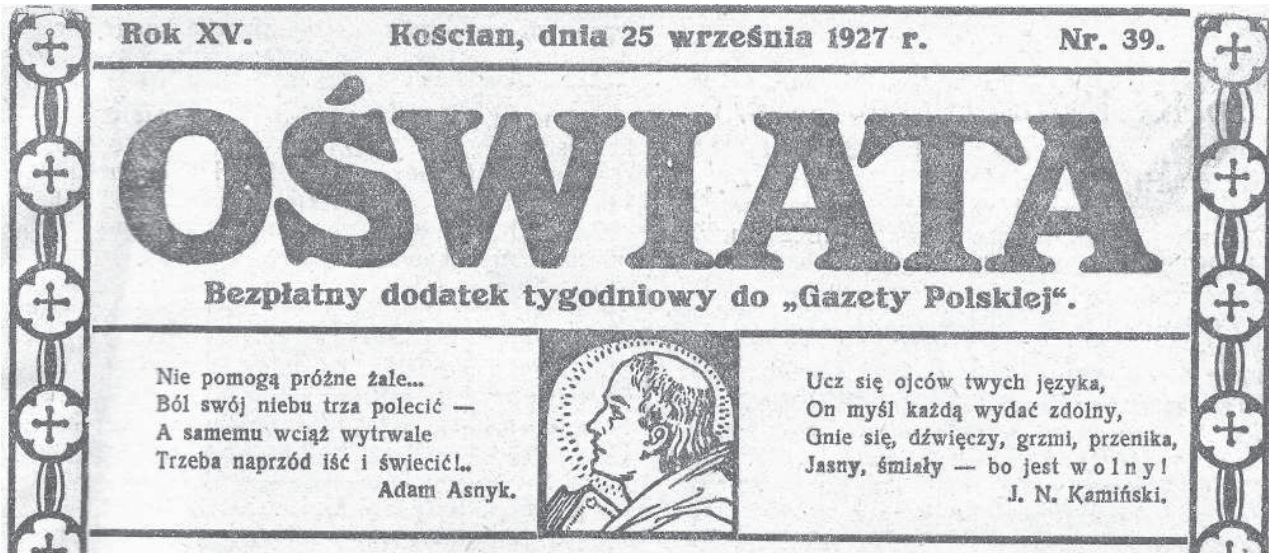
**W zaułku jednej z ulic Kościana spotykają się kuśnierz Andrzej z rzeźnikiem Bartłojem pomsztując na Szwedów okupujących miasto. Rzemieślnicy rozpaczają nad zbezczeszczoną i ograbioną farą, z której najeźdźcy wykradli kielichy i monstacje. Młody kupiec Szymon Jakubowski obmyślił plan pobicia panoszących się Szwedów i rozpoczyna poszukiwanie sprzymierzeńców. Udaje się do burmistrza Gertycha, którego córkę Annę szczerze miłuje. Burmistrz-zdradca wydaje Szymona w ręce Szwedów, którzy zamykają go w więziennej wieży. Anna, bez wiedzy ojca, chcąc ratować ukochanego, obiecuje wyjść za mąż za oficera szwedzkiego kapitana Renskiolda, a ten wypuszcza młodego kupca z wieży. Szymon organizuje powstanie. Wysyła rzeźnika Bartłoję do starosty babimojskiego Krzysztofa Żegockiego, który ze swoim oddziałem rozłożył się obozem pod Kościanem, z wiadomością, że większość załogi szwedzkiej wraz z landgrafem heskim opuściła miasto i udała się na polowanie. Oficerem w oddziale Żegockiego jest Szwed zwany „czarnym porucznikiem”.**

W namiocie znów pozostali sami obadwaj wodzowie i przez chwilę głucho zapanowało milczenie. Przypatrzyliśmy się teraz bliżej człowiekowi, którego Starosta tytułował porucznikiem. Zwykle zwano go „czarnym porucznikiem” o pod tem mianem zachowała się pamięć tego męża do dziś dnia w podaniach i baśniach ludowych. Nazwę tę dostał od czarnej zupełnie zbroi i od czarnego ubioru, który jego ponurej postaci nadzwyczaj złowrogię nadawał piętno. Twarz jego, młoda jeszcze i piękna, razila grobową bladością i wyrazem głębokiego smutku, zmieszanego z piekielnym jakimś wyrazem nienawiści, rysującym się około ust konwulsyjnie zaciśniętych. Poznałeś na pierwszy rzut oka, że młodzieniec ten straszne w życiu przechodzić musiał koleje, zanim ten odcień straszliwy wyrysował się na jego obliczu, że dla niego już nie jaśniała nadzieja szczęścia na tym świecie, że całą jego duszę jedna myśl szatańska,

# Krzysztof Żegocki

## czyli

### Oswobodzenie Kościana (4)



*Powieść Dobrzepolskiej w całości, w odcinkach, przedrukował w 1927 roku tygodnik „Oświata” – dodatek do „Gazety Polskiej”.*

*Reprod. w zbiorach J. Zielonki*

jedno okrutne zajęło postanowienie. Młody był wiekiem porucznik, a jednakowoż nikt z tych, którzy go znali od kilku lat, nie zapamiętał, żeby kiedy śmiech radosny rozpromienił jego posępne oblicze, żeby kiedy słowo wesołe wyszło z tych ust zaciśniętych. W boju okazywał nadludzką odwagę, lecz wśród najkrwawszej walki był zimny i niewzruszony. Z twarzą bladą i spokojną kroczył naprzód jak anioł zniszczenia i machinalnie, jakby to było jego rzemiosłem, słał wrogów pod swemi stopami...

W obozie nie znano wcale przeszłości porucznika. Nie wiadano nawet jak się nazywał i skąd pochodził. Głuche tylko obiegały pogłoski, że zbiegiem był z obozu Szwedów. Z krwawej tylko i nieubłaganej nienawiści jego do Niemców i Szwedów domyślano się, że musieli kiedyś strasznie mu dać się we znaki. Starosta, do którego porucznik powziął niejaki przywiązanie, chociaż zimna jego dusza poznać tego nie dawała, szanował tajemnicę swojego gościa i nie dręczył go nigdy pytaniami o jego pochodzenie. Tem większe było jego zadziwie-

nie, gdy dzisiaj po chwili milczenia porucznik w te się do niego odezwał słowa:

- Panie Starosto, wyście jedynym z ludzi, do którego prawdziwy czuję szacunek, prawdziwe przywiązanie. Dziwiłście się zapewne nieraz, skąd się wzięła we mnie, obcym przybyszu germańskiego pochodzenia, jak to z mojej mowy poznać mogliście, ta okrutna nienawiść do Niemców i Szwedów. Wiem, że nie dożyję jutrzejszego poranku, więc postanowiłem zwierzyć się wam z nieszczęsnych zdarzeń mego życia, a wytłumaczycie sobie łatwo moje postępowanie.

- Nie myślcie – mówił dalej do Starosty, gdy ten przerwać mu chciał przy wzmiance o rychłej śmierci – żeby to co wam powiedziałem o moim zgonie, było błahem tylko widziadłem dziwacznej fantazji lub skutkiem nerwów rozdrażnienia. Słyszeliście już pewno o tem, iż w niektórych rodach dalekiej północy jest dziedzicznym pewien rodzaj jasnowidzenia, co Niemcy „drugą twarzą” nazywają. I moja rodzina należy do tych rodów od Opatrzności na ich szczęście

lub zgonę wybranych. Dziad mój na minutę zgon swój przepowiedział, który go spotkał w krwawej bitwie z Polakami pod Kircholmem. Ojciec zginął z ręki wysłanego nań przez króla Karola Gustawa skrytobójcy, w godzinę potem, gdy był zrobił ostatnie swej woli postanowienie. I ja dzisiaj, musztrując nasze czaty, a więc przy zupełnie zdrowych i trzeźwych zmysłach, nie zaś pod wpływem sennego marzenia, uczułem jakieś straszne odrętwienie wszystkich sił fizycznych; dusza tylko zachowała wszelką i to znacznie podnieconą siłę myśli i sądenia – i ujrzałem się na polu trupami zastanem w walce z przeciwnikiem, który upadając, śmierć mi zadał wystrzałem z rusznicy. Twarzy tylko wroga rozpoznać nie mogłem, bo była chustką przewiązana; za to ubiór, zbroja, koń jego biały jak mleko, arab, wyraźnie w mojej wyryły się pamięci.

- Wiem, co mi chcecie powiedzieć, mówił dalej, gdy mu znów chciał przerwać Starosta – żebym się wstrzymał od boju



▶ w dniu dzisiejszym. To by się na nic nie przydało, bo przeznaczenia nikt ująć nie zdoła; do walki z tak potężnym przeciwnikiem za słabe nasze siły; a choćbym nawet wiedział, że tym sposobem uniknę tego losu, to jednak nie uczyniłbym tego. Że się śmierci nie lękam, uznaliście pewno sami, bo nieraz w krwawych bitwach staliśmy blisko siebie. Nic mnie zresztą do wstrętnego życia nie wiąże, krom zemsty na strasznym nieprzyjacielu, a tę spodziewam się zaspokoić dzisiaj. Wszystko co człowieka złotą nicią wiąże ze światem, wszystkie chwile piękne i radosne, wszystkie uczucia wzniosłe i szlachetne, te dawno już moje serce opuściły; nie zostało w niem nic, prócz jadowitej żmiji straszego wspomnienia. Lecz słuchajcie, ile człowiek znieść musi boleści, zanim się stanie takim, jakim mnie poznaliście.

Nad błękitnymi falami uroczego Melara stał zamek mojego ojca. Tam ujrzałem światło dzienne, tam pod czułym okiem kochającej mnie nad życie matki przeszły mi wesołe i swobodnie lata pierwszej, pięknej młodości. Ojca mało znałem, bo ten piastując znakomity urząd na dworze króla w Sztokholmie, większą część życia przepędzał w stolicy lub na licznych w owym czasie prowadzonych przez Szwedów wojnach. Czasami tylko i to na krótko, zjawiał się na zamku naszym. Były to chwile największego wesela i szczęścia dla mnie. Przypominam sobie, jak gdybym dzisiaj widział przed sobą tę postać olbrzymią, z długą aż do pasa spływającą jasną brodą, z tem okiem błękitnem, tak łagodnem a tak groźnie błyszczącym w chwilach w chwilach uniesienia lub gniewu...

Pewnego dnia, gdym właśnie był skończył rok dwudziesty, przybył znów ojciec do nas i po długiej rozmowie z matką, którą we łzach zastałem, zabrał mnie ze sobą do Sztokholmu, gdzie był mi wyrobił miejsce oficera w gwardii przybocznej króla. Długo nie mogłem się znaleźć w tych nowych zupełnie dla mnie stosunkach stolicy; wreszcie przyzwyczałem się do tego życia i zacząłem nawet w nim smakować. Lecz inny przedmiot uwięził mnie silnymi więzami w Sztokholmie. Poznałem tam hra-

biankę Fryderykę i pokochałem ją nad życie. Nie będę wam jej opisywał, Starosto, bo każde o niej wspomnienie wzburza krew moją, wywłóczy z grobów dawno pochowane widma i stawia mi je przed oczy. Dość, że Fryderyka łączyła wszystkie zalety wzniosłej i szlachetnej duszy z uroczym wdziękiem ciała... Ojciec jej był najszczęśliwszym przyjacielem mojego ojca; z radością spoglądali obadwaj na tę miłość swych dzieci i związek nasz był prawie umówiony. Lecz nie było postanowionem w wyrokach Opatrzności, aby mi takie szczęście dostało się w udziale; wkrótce straszne miało nastąpić rozczarowanie.

Pewnego dnia, gdy miałem wartę w przedpokoju króla, zostałem wywołany na podwórze zamkowe, gdzie właśnie był zajechał jakiś książę niemiecki.

- Jestem Henryk, landgraf Hesji – rzekł do mnie – proszę objaśnić moje przybycie kuzynowi memu, królowi Szwecji.

Z pierwszego wejrzenia nie podobała mi się ta twarz tak młoda, a już tak przeżyta; jeszcze mniej podobał mi się dumny ton jego mowy. Od pierwszego spotkania uczulem jakiś wstręt instynktowny, nienawisć prawie do tego człowieka. Przeczuałem, że on stanie się straszną przeszkodą w mem tak szczęśliwem dotychczas życiu, że on okrutną odegra w niem rolę. Nie omyliło mnie przeczucie. Jego zmysły zajęła piękna postać Fryderyki brudnym ogniem namiętności. Ona przeczuwała zapewne domyślnem sercem kobiety nieczyste jego uczucia, bo unikała trwożliwie spotkania z nim. Wkrótce po tem wzniosła się w Sztokholmie pogłoska, że Fryderyka zniknęła bez śladu...

Tak upłynęło kilka tygodni. Były to dla mnie dni straszliwe i pełne boleści, lecz miały przyjść jeszcze gorsze. Pewnego dnia siedziałem w mojem mieszkaniu pogrążony w rozpaczliwych myślach na losem ukochanej, gdy wtem drzwi się otworzyły i weszła Fryderyka, lecz zmieniona niedopoznania, podobniejsza do widma bladego, niż do istoty żyjącej. Oczy jej, w głąb zapadłe, dzikim jakimś, prawie obłąkanym świeciły blaskiem; w uniesieniu radosnem chciałem uchwycić ją w objęcia, ale ona powstrzymała mnie skinieniem ręki i rzekła ponurym głosem:

- Wstrzymaj się, Karolu, między nami wszystko skończone, bom ja już ciebie niegodną. O jedną tylko błagam cię

łaskę, zaklinam cię w imię naszej przeszłej miłości, proszę cię, przysięgnij mi krwawą zemstę na landgrafie Hesskim. Przybyłam tutaj, aby w twoich oczach śmierć sobie zadać, bo żyć nie mogę zhańbiona.

To mówiąc, wyjęła sztylet zachowany pod suknią i zanim mogłem zapobiec temu, zadała sobie śmiertelną ranę w samo serce. Przy strumieniu krwi buchającej z jej łona przysięgłem krwawą zemstę jej uwodzicielowi. Pobiegłem natychmiast do jednego z mych przyjaciół z prośbą, żeby w mem imieniu wyzwał landgrafa na pojedynek. Długo odradzał mi przyjaciel ten zamiar, wykazując niebezpieczeństwo, na jakie się narażam, wyzywając do boju tak bliskiego krewnego królewskiego, lecz nie mogąc zmienić mego postanowienia, udał się z wyzwaniem do mieszkania landgrafa. Lecz podły uwodziciel okazał się teraz jako tchórz nikczemny. Nie tylko, że nie przyjął mego wyzwania, ale wpływem swym na dworze dokazał, iż przyjaciela mego i mnie jako zbrodniarzy przeciwko majestatowi królewskiemu, do głębokiego wtrącono więzienia.

Ojciec mój dowiedziałwszy się o nie-szczęsnym losie syna, w ostrych słowach żądał od króla sprawiedliwości za takie nieczne postępowanie z szlachcicem szwedzkim, za pogwałcenie praw i przywilejów, zaprzysiężonych szlachcie przez monarchów. Karol Gustaw nie śmiał otwarcie występować przeciw memu ojcu, którego wpływ przeważny i bliskie stosunki z najpierwszymi domami w Szwecji znał dobrze. Wiedział, że krzywda jemu wyrządzona, wywołałaby oburzenie w całej arystokracji, a może i nawet straszne powstanie. Chwycił się więc innego środka, aby usunąć z drogi dopominającego się swych praw szlachcica. Ojciec mój zginął z ręki skrytobójcy, pozostawiwszy mi na piśmie, jako ostatni spadek, nakaz zemsty za moją i jego zniewagę i krzywdę...

Po wyjściu z więzienia dowiedziałem się o niecnym postępku króla: o zamordowaniu ojca i jego ostatnim nakazie. Nic nie zatrzymało mnie więcej w Szwecji; bo matka, zgnębiona okrutnym losem męża i syna, umarła ze zmartwienia, podczas gdy ja jęczałem w lochu więziennym. Przyjaciele dawniejsi, obawiając się gniewu króla, odsunęli się ode mnie. Aby zmylić wszelkie poszlaki, udałem śmierć moją. Nazajutrz po mem uwolnieniu, wyciągnięto z jeziora Me-

lar trupa z roztrzaskaną głową, ubranego w szaty, jakie zwykle nosilem. Z przekleństwem na ustach porzuciłem kraj ten, gdzie mnie tyle okropnych spotkało ciosów, wsiadłem na łódkę i opuściłem rodzinną ziemię, aby się stać zdrajcą ojczyzny, lecz zarazem strasznym mścicielem krzywd takich, jakie rzadko który człowiek znieść byłby w stanie. Przybyłem do Polski, dowiedziawszy się, że tam znajduje się ten zbrodniarz, ten podły uwodziciel, landgraf Hesski, obecny komendant Kościana. Zgromadziłem około siebie hufiec towarzyszków...

Tak mówił porucznik, a oczy jego groźne rzucały spojrzenia i usta, straszliwie wykrzywione, przedstawiały boleść. Starosta w głuchym milczeniu słuchał opowiadania. Czasami tylko, gdy porucznik najsroźsze sceny swego smutnego życia wspominał, Starosta ze wściekłością szarpał wąs swój czarny, lub ścisnął rękę jeść karabeli, jakby chciał się rzucić na łotrów, którzy tyle złego wyrządzić byli zdolni biednemu młodzieńcowi.

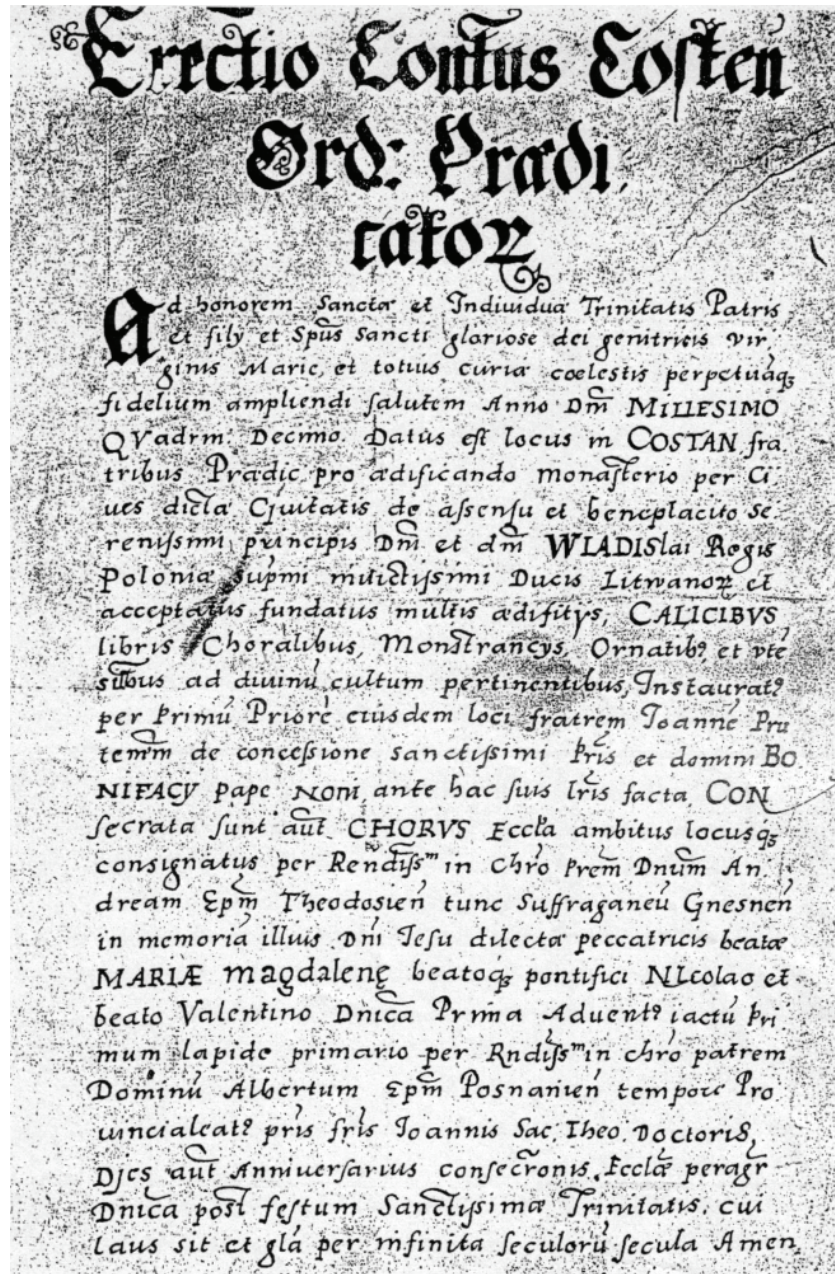
- Chciałbym dostać w swoje ręce tę nieczciwą heską – zawołał – a wtenczas żaden djabełby go nie uwolnił od zasłużonej kary!

- O jedną was proszę łaskę, panie Starosto – rzekł porucznik ponuro. – Pozostawcie mnie i mej zemście landgrafa. Nie miałbym spokoju po za grobem nawet, gdyby inna dłoń a nie moja wymierzyła sprawiedliwość temu zbrodniarzowi.

- Niech i tak będzie, kiedy sobie tego życzysz – rzekł podnosząc się z siedzenia Starosta. Lecz teraz czas już zając się naszą wyprawą i przygotować do niej towarzyszków. (cdn)

#### WANDA DOBRZEPOLSKA

\*) Są to fragmenty powieści historycznej z XVII w. Wandy Dobrzepolskiej. Pominięto rozdziały od V do IX i początek rozdziału X. W tekście zachowano pisownię oryginału. Pisarka i tłumaczka Emma Puffke urodziła się 28 listopada 1818r. w Poznaniu. Ojciec Stanisław Kurowski był ziemianinem, matka Marianna z domu Wroniecka. Uczyła się w szkole im. Ludwiki w Poznaniu. W 1836r. poślubiła Niemca ziemianina Maurycego Puffke, który był przyjaźnie nastawiony do Polaków. W 1862 roku Emma Puffke otworzyła w Kościanie pensję, którą prowadziła do 1875r. Jest autorką kilkudziesięciu opowiadań i powieści, m.in.: „Dwaj bracia różnego wychowania”, powieści historycznej „Krzysztof Żegocki, czyli oswobodzenie Kościana”. Używała pseudonimu artystycznego Wanda Dobrzepolska. Zmarła 17 października 1890r. (tm)



Dokument o założeniu klasztoru dominikańskiego w Kościanie.

Ze zbiorów prof. dr. hab. Zbigniewa Wielgosza

## Podominikańskie ślady

**Encyklopedyczna definicja zabytku brzmi następująco: „Jest to dzieło powstałe w przeszłości, przedstawiające wartość muzealną, historyczną i kulturalną”. Omawiając więc zabytkowe znaczenie kościoła p.w. Pana Jezusa w Kościanie proponuję zwrócić uwagę na wątek historyczny i kulturalny.**

W wątku historycznym warto wyróżnić dwa okresy. Ten, w którym kościół powstał i funkcjonował w pierwszych wiekach istnienia oraz czas, w którym trwała walka o tożsamość narodową, kulturę, religię i język ojczysty. Dzieje

kościół p.w. Pana Jezusa są nierozdzielnie związane z dziejami istniejącego wcześniej kościoła klasztornego O.O. Dominikanów p.w. św. Marii Magdaleny, św. Mikołaja biskupa i św. Walente-





*Kaplica Pana Jezusa, na drugim planie fragment starych murów miejskich.*

*Fot. Teresa Masłowska*

go. Jego powstanie w 1410 r. jest wymownym potwierdzeniem faktu początku „złotego okresu rozwoju miasta Kościana, trwającego aż do potopu szwedzkiego”. Nie często można spotkać w dziejach takie wydarzenia, aby w krótkim czasie – obok istniejącego już wówczas kościoła farnego – powstało w jednym mieście tyle świątyń, ile zbudowano ich w Kościanie. W 1385 r. wzniesiono obecny kościół p.w. św. Ducha, w 1410 r. O.O. Dominikanów, w 1412 r. nie istniejący od II wojny światowej kościół p.w. św. Krzyża, a w 1425 r. także nie istniejący już kościół p.w. Bożego Ciała i wreszcie w 1456 r. kościół klasztorny O.O. Bernardynów. W budowę i wyposażenie tych świątyń angażowały się władze miejskie i coraz bogatsze mieszczaństwo. Miasto królewskie Kościan otoczone opieką króla umożliwiało rozwój handlu, rzemiosła i kultury. Kościan stał się centrum liczącego około 5 tys. km kwadratowych powiatu i drugim co do znaczenia ośrodkiem miejskim w Wielkopolsce.

Rozwój miasta był w różnych latach na krótko hamowany przez liczne pożary, a zwłaszcza największy z nich, który w 1503 r. doprowadził do zniszczenia dużej części miasta, a także części obiektów klasztornych, w tym także kościoła O.O. Dominikanów. Najgorszy i przełomowy okres to czasy „potopu szwedzkiego”. 11 października 1655 r. wraz z miastem kolejny raz spłonął kościół klasztorny. Ocalał znajdujący się w klasztorze cudowny Krucyfiks. W trakcie

odbudowy świątyni postanowiono wybudować osobną kaplicę, w której miał być umieszczony cudowny Krzyż.

W późniejszych latach dzieje kaplicy i kościoła wpisują się w historię walk władz pruskich z narodem polskim. Po zawarciu Traktatu Wiedeńskiego w 1815 r. władze pruskie dość liberalnie traktowały ludność polską na przejętych ziemiach. W miarę upływu czasu kurs ten ulegał stopniowemu zaostrzeniu. Głównym polem walki, które wyznaczyli Prusacy, było wszystko to, co łączyło się z synonimem Polak-katolik. W późniejszych latach dochodziło także do walki na polu ekonomicznym. W tym pierwszym elemencie walki mieliśmy do czynienia m.in. a kasatą zakonów i związaną z tym grabieżą ich majątków i fizycznym niszczeniem kościołów klasztornych. Dalszym etapem było wszystko to, co łączyło się z Bismarckowskim Kulturkampfem, a zwłaszcza ustawami majowymi z 1873 r. Bardzo wymowna była walka z językiem polskim, który starano się wyrugować nawet z nauczania religii. Doprowadziło to w efekcie do powszechnego strajku szkolnego w latach 1906/07. Wspaniałą patriotyczną postawą wykazały się w nim także dzieci i ich rodzice z Kościana, Kiełczewa i innych miejscowości powiatu kościańskiego.

#### Zakusy proboszcza Brenka

Po kasacie klasztoru O.O. Bernardynów, doszło w 1832 r. także do kasaty klasztoru O.O. Dominikanów. Kościół poddominikański przekazano gminie ewangelickiej. Kaplicę w której znajdował się cudowny Krzyż pozostawiono gminie katolickiej. W następnych latach (1842)

Prusacy kościół rozebrali, a materiały z niej pochodzące, posłużyły do budowy zboru ewangelickiego. W latach 1907-1908 dzięki staraniom ks. Fuhrmanna dotychczasowa kaplica została powiększona w kierunku wschodnim i stanowi obecne prezbiterium neobarokowego kościoła.

W okresie okupacji kościół był zamknięty i użytkowany przez władze okupacyjne jako magazyn. Od 30 kwietnia 1974 r. wszedł w skład erygowanej parafii p.w. św. Ducha. W użytkowanej przez Polaków kaplicy przed I wojną światową kazania głoszone w języku polskim mimo, iż Niemcy zabiegali o ich zaprzestanie.

Kolejny ciekawy epizod dotyczy okresu walki kulturalnej. Jak wspomina O. Władysław Szoldrski w 1875 r. „Wierni nie chcąc uczęszczać na nabożeństwa do kościoła parafialnego, gdzie Brenk [rządowy proboszcz katolicki – dop. red] gospodarował, garnęli się do kaplicy Pana Jezusa, a nie mogąc się w niej pomieścić, tłumnie zalegali obszerne plac przed kaplicą. Wprawdzie Brenk nie dał za wygraną i starał się kaplicę Pana Jezusa poddać pod swoją władzę, a nawet ks. Heinricha swoją powagą zasuspendować, jednakże zarząd kaplicy, jaki stosownie do praw państwowych został utworzony w 1876 r., dzielnie bronił kaplicy przed zakusami Brenka”. Od czasu kasaty klasztoru kaplicą zawiadywali do II wojny światowej: ks. Adolf Heinrich, ks. Paweł Fuhrmann, od 1920-30 O.O. Redemptoryści, ks. Jan Zaremba, ks. Stanisław Cichy i ks. Adolf Graczyński.

### Krzyż słynący łaskami

Wspomniany Szoldrski pisał, że w 1817 r. kościół klasztorny był murowany, kryty gontem posiadał drewnianą wieżę z dwoma dzwonami i sygnaturką. Posadzka w kościele była ceglana, a sufit drewniany. W głównym ołtarzu umieszczona była figura św. Mikołaja. W nawach bocznych znajdowało się 6 ołtarzy, a jednym z nich był ołtarz św. Dominika. Na jego zasuwie znajdował się obraz ze św. Józefem. Przez krużganek klasztorny kościół łączył się z kaplicą św. Krzyża.

W wielkim ołtarzu kaplicy znajdował się cudowny Krzyż. Na kolumnach wisiało 37 wotów. Po bokach kaplicy stały dwa ołtarze: Matki Boskiej Pocieszenia i św. Wincentego Terencjusza. Jak wspomniano zabytkowego znaczenia kościoła p.w. Pana Jezusa nie można oddzielać od kościoła O.O. Dominikanów i duchownych, którzy w nim przebywali i prowadzili działalność kaznodziejską. Wielu ojców pochodziło z Kościana i pełniło w klasztorze obowiązki duszpasterskie i kaznodziejskie w innych ośrodkach. Wysoki poziom nauczania prezentowała funkcjonująca przy klasztorze szkoła, która oddziaływała także poza środowiskiem duchownych. Jako zakon kaznodziejski działali wśród wiernych. Musieli cieszyć się dobrą opinią, o czym świadczyły liczne darowizny na

rzecz klasztoru i kościoła.

W pięknie odrestaurowanym kościele, w jego barokowym prezbiterium, znajduje się ołtarz główny pochodzący z około 1700 r., sześciokolumnowy, w którym umieszczony jest późnogotycki krzyż, pochodzący z I połowy XVI w., o czym wzmiankowane jest w opracowaniu Teresy Ruszczyńskiej i Anieli Sławskiej w Katalogu Zabytków Sztuki Dawnej Powiatu Kościańskiego. W zwieńczeniu ołtarza znajduje się rzeźba Piety z I połowy XVIII w. pod nią znajduje się kartusz z hierogramem Marii, podtrzymywanej przez anioły. W starszej części kościoła są także dwa boczne rokokowe ołtarze. W dobudowanej w latach 1907-1908 neobarokowej części kościoła zwraca uwagę umieszczona w wejściu barokowa krata z ok. 1739 r. fundacji Adama Kołaczkowskiego, podkomorzego kaliskiego. W krużganku kościoła jest późnogotycki Krzyż z ok. 1500 r. Godnym zwrócenia uwagi jest obraz św. Stanisława Kostki, umieszczony na ścianie lewej części nawy. Obraz pierwotnie znajdował się w auli Gimnazjum im. św. Stanisława Kostki aż do II wojny światowej. Kościół stanowi obecnie centrum parafii p.w. św. Ducha, powołanej w 1974 r.

Na szczególną wzmiankę zasługuje znajdujący się w kościele, słynący łaskami Krzyż. Brak dokumentów, z któ-

rych wynikałoby kiedy i w jakich okolicznościach znalazł się pierwotnie w klasztorze O.O. Dominikanów. Pierwsza wzmianka jaka zachowała się o nim pochodzi z 1644 r. a jej autorem był poznański dominikanin O. Jacek Grodzki. Opisano wiele cudów doznanych za pośrednictwem Krzyża. Szczególna cześć jaka jest oddawana Krzyżowi wyraża się w ceremoniale towarzyszącym odsłanianiu i zasłanianiu Krucyfiksu. Od 1790 r. zgodnie z wolą papieża Piusa VI wierni mogą uzyskać odpust zupełny pod zwykłymi warunkami za nawiedzenie kościoła w uroczystość Znalezienia i Podwyższenia Krzyża Świętego. Już dawno temu w kościele był obraz przedstawiający „Wizję św. Augustyna” z około 1700 r. Jest to o tyle ciekawa sprawa, że na obrazie tym daje się zauważyć fragment panoramy miasta Kościana. Na jeszcze jedną rzecz warto wskazać, a mianowicie na to, że mieszkańcy Kościana do dzisiaj zamiennie używają nazwy kościół lub kaplica p.w. Pana Jezusa.

**JAN PAWICKI**

\* Tytuł artykułu pochodzi od redakcji. Autor opatrzył manuskrypt tytułem: Zabytkowe znaczenie kościoła pod wezwaniem Pana Jezusa w Kościanie.

## W oparach drukarskiej farby (3)

**Wybitny artysta plastyk, fotograf i rysownik Józef Skoracki urodził się 1 stycznia 1920 r. w Lesznie, zmarł zaś 6 stycznia 2005 r. w Poznaniu, urnę z jego prochami pochowano na cmentarzu górczyńskim. Pozostawił po sobie wiele zdjęć i grafik, a także rękopis wspomnień, który zdeponował w archiwum prywatnym red. Jerzego Zielonki. Tekst ten stanowi fragmenty kościańskich wspomnień tego cenionego artysty.**

Bardzo się ucieszyłem kiedy koło mostu rozlała swoje dotąd leniwe wody Obra. Chodziłem dwa, trzy dni koło tego rozlewiska zadowolony, że wreszcie coś się w tym miasteczku dzieje. Bo i mała mgiełka się przyplątała i z satysfakcją wykonałem serię romantycznych fotosów. W końcu załazłem nawet na południowo-wschodni kraniec miasta, gdzieś za ulicę Łąkową i tam zobaczyłem i znów utrwaliłem na filmie szerzej rozlaną na łąkach płyciznę. Dla leszczyniaka bez jeziora i choćby rzeczki takie drobne

wydarzenia z wodą były co najmniej ciekawostką.

W zakładzie Grapische Werkstätten miałem wspaniałą swobodę, funkcjonowałem tam właściwie zupełnie samodzielnie. Przychodziłem do pracy wprawdzie punktualnie, nigdy nie chorowałem i wychodziłem razem z innymi, choć kiedy mi praca odpowiadała godzin nie liczyłem. Nie było też w firmie obowiązku ранego zapisywania się lub odbijania karty. Nikomu się nie tłumaczyłem kiedy miałem ochotę pospacerować się po miasteczku, by fotografo-

wać lub poczynić zakupy. Najczęściej sam decydowałem o tym co i kiedy będę robił i sam o wszystkich swoich dokonaniach stanowiłem. Cieszyłem się u szefa dużym zaufaniem i chyba szacunkiem. Nigdy nie musiałem się z niczego rozliczać. Gdybym nawet kiedy nie przyszedł do pracy nie musiałbym się usprawiedliwiać. Miałem dużo szczęścia wybierając sobie do pracy ten właśnie kościański zakład. Pracowałem tam rzetelnie, jak po-





trafiłem najlepiej, bo inaczej nie umiałem.

Gdzieś około sierpnia w roku 1944 wpadł do mnie silnie podekscytowany szef z rewelacyjną wiadomością. Był w siedzibie kościańskiego Gestapo (mieściło się przy Alejach Kościuszki, naprzeciwko naszego zakładu) i wziął udział w tajnym spotkaniu, na którym zademonstrowano uczestnikom działanie pierwszego w Kościanie, prymitywnego jeszcze telewizora. Że to nas czeka wiedziałem już z lekcji fizyki profesora Stanisława Lotza w roku 1937.

Władze hitlerowskie obawiając się nalotów również na spokojny dotąd Warthegau zarządziły ogólną ochronę przeciwlotniczą na swoim terenie. Więc i nasz szef wydał wszystkim mężczyznom w zakładzie stosowne legitymacje, upoważniające nas do chodzenia po godzinach policyjnych. Ja przychodziłem wieczorem do zakładu i zaraz szykowałem sobie spanie na jednym ze stołów w dziale introligatorni. Nie było problemu jesienią, ale kiedy nastąpiły chłody trzeba było się ciepło ubrać i przykryć płaszczem. Nie było bowiem żadnych

instrukcji, wystarczała sama obecność, co u pedantycznych Niemców bardzo mnie zadziwiało.

W listopadzie, a może był to już początek grudnia otrzymałem od szefa niezwykle polecenie. Miałem bowiem wykonać w kościańskiej „Sokolni” przy ulicy czy alejach Adama Mickiewicza jakiś duży napis na ścianie pod sceną. Zachodzę tam wieczorem i widzę stoi rusztowanie, na nim jakieś puszki z farbami oraz pędzle. Wlazłem na te wążuteńkie i ruszające się filuternie deseczki i rozrysowałem zgrabnie ten napis, wypełniłem go farbą. Schodzę już szczęśliwy, że udało się wszystko bez upadku, a tu w ostatniej chwili wypada mi, przy jakimś gwałtowniejszym zachwianiu rusztowania, jedna z puszek z farbą na podłogę. Uderza w nią z wysoka równym dnem i na zasadzie reakcji cała farba wylatuje gwałtownie w górę i dokładnie spryskuje mi jedną ze zwisających z boku dekoracyjnych draperii. A tego ranka ma się tam odbyć jakaś ważna partyjna impreza z miejscowym Kresileiterem (powiatowym przywódcą partii), a może i wysokim członkiem NSDAP, nie-

jakim panem Olszewskim (pisownia oryginalna) na czele. Nie pamiętam już, po sześćdziesięciu latach, jakich użyłem sposobów, by zmyć ten mój okropny „sabotaż”. Nie wiem jaka by czekała mnie kara gdyby się nie udało, a wszystko odbyło się nocą z soboty na niedzielę, a cały czas byłem sam.

Ostatnie moje kościańskie zlecenie było dość niezwykle. Mój szef zlecił mi bowiem szczegółowe obfotografowanie drużyny młodych chłopaków z Hitlerjugend zaangażowanych w pospieszonym kopaniu rowów przeciwpancernych pomiędzy szosą z Leszna do Poznania, a polną drogą z Leszna do wsi Wilkowice. Zdziwiłem się, że taką poufną pracę zleca Polakowi, której rezultaty mógłby przecież przekazać komu trzeba. Zaopatrzone we właściwe dokumenty zgłosiłem się następnego dnia rankiem do komendy Wehrmachtu w Wilkowicach i wyruszyliśmy dużą gromadą do tych rowów. Przy przeskakiwaniu szerokiej wyrwy wpadłem, zresztą nie sam, a obciążony moją aparaturą do wody. Jednak się nie zamo-



„Arbeitsamt” – niemiecki urząd pracy w Kościanie.

Fot. Józef Skoracki

czyłem, bo akurat tego dnia miałem na nogach nowe, wysokie sznurowane buty, które uszył mi leszczyński pan szewc.

A wykonał je z grubej końskiej niezdartej skóry, pochodzącej z mojej szkolnej teczki, którą otrzymałem przed 18 laty w roku 1926. Zdzierałem podeszwy, a cholewki niezniszczalne. Wypstrykałem na tych rozgrzebanych polach cały film i żałuję że go nie zatrzymałem dla siebie. Może mi go szef odebrał, kiedy wróciłem do Kościana. Ja z niego już nie sporządziłem powiększeń. Przez wiele lat powojennych widywałem jasne ślady tych szerokich już zasypanych rowów. Był, a jakoby go nie było

Spróbuję na koniec ocenić działalność w kościańskiej drukarni pana Ernsta Schirmera. Objął ją funkcjonującą znakomicie z wyborym zespołem pracowników, lecz musiał w warunkach wojennych okrutnie ukrócić jej produkcję specjalistyczną. Kontakty z zespołem miał ułatwione bo wszyscy powyżej trzydziestego roku życia znali język niemiecki jeszcze ze szkół. A faktycznie pracą całego zespołu kierował pan Feliks Lenart, z wykształcenia zecer, z rzadką specjalnością składacza ręcznego nut. Pan Schirmer siedział murem przy swoim biurku i rzadko na krótko ukazywał się na terenie zakładu. Do willi, w której mieszkał z żoną (najbrzydszą kobietą jaką w życiu widziałem), chodził na drugie śniadanie i obiady. Nie interesowały go poglądy i zainteresowania pracowników, nie widziałem żeby kiedykolwiek na kogoś podniósł głos. Ani razu policja czy Gestapo nie było zainteresowane żadnym z naszych pracowników, więc na nikogo nie donosił. Można powiedzieć nawet, że pan Schirmer był i go w zakładzie nie było.

Muszę teraz wspomnieć o pewnym wyznaniu naszego szefa. Podczas jednego z krótkich spotkań w mojej pracowni wyznał mi, że był kiedyś zwolennikiem lub sympatykiem, a może nawet członkiem organizacji rewolucyjnej „Spartakus”, czyli lewicowym socjaldemokratą. Ja przyjąłem to oświadczenie do wiadomości, ale żadnej debaty nie podjąłem. Ucieczkę z Kościana podjął chyba nazbyt późno, bo opowiadano mi, że zginął podczas jakiejś strzelaniny, koło swych rodzinnych stron - blisko Śmigła. (Koniec)

**JÓZEF SKORACKI**

# Kronika zwykłych przypadków (1)

**To jest dokument tamtych czasów. Akcja toczy się w 1945 roku. Tekst powstał w oparciu o raporty Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kościanie i Powiatowej Komendy Milicji Obywatelskiej w Kościanie. Wzbogacono go o informacje i notatki prywatne funkcjonariuszy. Tytuł ma swoje źródło w wypowiedzi jednego z nich, który powiedział: „To wszystko, to były zwykłe, codzienne, powojenne przypadki”.**

## 28 sierpnia 1945 r.

Lekarz medycyny Lech Antoni Radeberg w Szpitalu Św. Zofii stwierdził obrażenia głowy i udzielił pierwszej pomocy Stanisławowi Jakubiakowi z Kościana. O godz. 15.30 przy Al. Kościuszki Jakubiaka potrafił rosyjski samochód wojskowy. Sprawca zbiegł. Rodzina odszkodowania nie otrzymała.

## 6 września 1945 r.

Dwa kilometry od Głuchowa z powodu gęstej mgły wpadł do kanału obrzańskiego samochód osobowy, zmierzający do Kościana. Śmierć przez utonięcie poniósł pasażer Henryk Schmidt z Poznania. Kierowca i dwóch pozostałych pasażerów zdołali się uratować.

## 7 września 1945 r.

\* Między Białcem a Pelikanem znaleziono ciało kobiety Heleny M. stwierdzono, że zastrzelono ją dwoma strzałami z broni rosyjskiej. Dochodzenie dowiodło, że sprawcą był „żołnierz rosyjski, który zbiegł, zabierając rower zamordowanej, a zabójstwo popełnione zostało z chęci rabunku”.

\* Pod Poinem na szosie Kościan – Śmigiel wpadł do rowu rosyjski samochód osobowy. Zginęła jedna osoba, dwie odniosły poważne obrażenia ciała. Przyczyną wypadku było „pęknięcie przedniej osi, a nieszczęśliwych oraz trupa zabrał przejeżdżający samochód rosyjski ciężarowy i odwiózł w kierunku Wrocławia; wszyscy pasażerowie byli Rosjanami”.

## 9 września 1945 r.

Z raportu: „Żołnierz rosyjski dokonał kradzieży dwóch ubrań na szkodę obywatela. Ratajczak Marii, zam. w Kielczewie nr 3 pow. Kościan. Sprawcy kradzieży nie wykryto.

## 10 września 1945 r.

Patrol rosyjski o godz. 0.30 okradł pracownicę krawiecką obywatelki Biwanowej w Kielczewie nr 21. Złodzieje weszli do pomieszczenia przez okno od podwórza i zabrali dwie sztuki materiału na jesienne płaszcze damskie. Milicja odnotowała: „Sprawców po-

mimo poszukiwań nie wykryto, albowiem dowództwo rosyjskie przedstawiło inny patrol w miejsce właściwego patrolu. **11 września 1945 r.**

O godz. 16.30 na skrzyżowaniu ulic Gościńskiej i Poznańskiej w Kościanie rosyjski samochód potrafił motocykl z przyczepą. Obrażenia odnieśli Kazimierz Kotliński z Dopiewa i Józef Weichan ze Stęszewa. Sprawca wypadku zbiegł. Zarejestrowano numer rosyjskiego pojazdu 026-057.

## 12 września 1945 r.

Na polach majątku Lubiń Wiktoria K. znalazła intrygujący przedmiot. Milicja donosiła, że był to „zapalnik od granatu, który w czasie manipulacji wybuchł raniąc poważnie Wiktorię w lewą rękę i spowodował także uszkodzenie ciała”.

## 16 września 1945 r.

W Wielichowie wybuchł pożar. Doszczętnie spłonęła „stodoła latowa”. Z przeprowadzenia dochodzenia wynikało, że pożar powstał „ze strzałów wojska rosyjskiego, które strzelało tak sobie z balkonu ratusza w Wielichowie”.

## 17 września 1945 r.

W miejscowości Granecznik na gałęzi sosny znaleziono ciało wisielca. Okazało się, że był to Stanisław G., który popełnił samobójstwo na skutek rozstroju nerwowego spowodowanego przeżyciami wojennymi.

## 20 września 1945 r.

W Kościanie na Al. Kościuszki rosyjska ciężarówka, zmierzająca z kierunku Leszna przy wymijaniu uderzyła z dużą siłą w samochód dostawczy. Z raportu: „(...) Samochód półciężarowy należący do Ministerstwa Przemysłu i Biura Rewindykacji i Odszkodowań Wojennych z Poznania najechał idącą na chodniku kobietę Józefę Frąckowiak, pracownicę Monopoli Tytoniowego w Kościanie. Najechnała odniosła





# BIULETYN POWIATOWY

WYCHODZI CODZIENNIE z WYJĄTKIEM NIEDZIEL I ŚWIAT

Nr 5 (202)

Kościan-Leszno, czwartek 8 listopada 1945

Rok I

## Trumny na rynku w Kościanie

Różnego byli zawodu i wieku, z różnych pochodzili środowisk — złączyła ich

## Wielkie święto narodowe bratniego narodu rosyjskiego

Dzień wczorajszy był dniem wielkiego święta narodu Związku Radzieckiego. Był to dzień

Widzą one w niej chęć Związku Radzieckiego do współpracy w dziele odbudowy pokoju, oraz naglebienia i konsolidacji między sojusznikami.

„Biuletyn Powiatowy” był ściśle cenzurowany – kronik wypadków nie wolno było drukować.

Oryg. w zbiorach autora tekstu

ciężkie obrażenia ciała i została przewieziona do Szpitala Św. Zofii. Wypadek spowodował samochód ciężarowy rosyjski, który najechał na polską półciężarówkę, uderzając ją w lewy bok z taką siłą, że polska ciężarówka została rzucona na chodnik. Samochód rosyjski zbiegł nierozpoznany. Półciężarówka uderzyła błotnikiem idącą kobietę i przygniotła ją do słupa rusztowania. Półciężarówka polska zdażała z prędkością 30 kilometrów na godzinę”. Ofiara wypadku zmarła po dwóch dniach.

### 25 września 1945 r.

Z raportu: „Skradziono ob. Chojnackiemu w Parzęczewie jedną świnię wagi ok. 2 i pół centnara; po interwencji milicji świnię zwrócono poszkodowanemu. W Konojadzie obywatelce Leśnik skradziono świnię wagi przeszło jeden centnar; sprawcami okazali się żołnierze rosyjscy, którzy po interwencji milicji świnię zwrócili 26 września 1945 r.

Z raportu: „Udał się Komendant Powiatowy MO z sekretarzem Kajetanem Kosteckim oraz świadkiem starszym referentem służby śledczej Kurkiem Stefanem i starszym referentem Brzezińskim Stanisławem do magazynu Referatu Śledczego MO celem sprawdzenia dowodów rzeczowych. Przy dojściu do drzwi zauważono sznurek od plomby przecięty, a po otwarciu liczny brak dowodów rzeczowych. W związku z powyższym prowadzi się dochodzenia”.

### 28 września 1945 r.

O godz. 12.00 Czesław Konieczny, jadą-

cy motocyklem z Wyderowa do Nietążkowa potrącony został przez rosyjski samochód z przyczepką załadowany drewnem. Kierowca auta, wyprzedzając, zahaczył motocykl błotnikiem. Milicja ustaliła, że „Konieczny uderzył głową w samochód tak nieszczęśliwie, że złamał czaszkę, przyczepą przejechana została mu lewa ręka; Konieczny został natychmiast odwieziony do szpitala, gdzie zmarł”.

Z raportu: „U obywatela Michalaka w Olszewie dokonali kradzieży świni żołąnierze rosyjscy. Dom ostawili dookoła i właścicielowi nie pozwolili wychodzić. Sprawcy, po ukazaniu się właściciela wydali 3 strzały, wzywając go do zatrzymania się”.

### 10 października 1945 r.

O godz. 16.30 wypadek miał komendant powiatowy MO Stanisław Maliczak. Kierował motocyklem, a na tylnym siedzeniu wioził zastępcę komendanta do spraw polityczno-wychowawczych. Zawiodły hamulce. Do wyrotki doszło przy skręcaniu z ul. Marcinkowskiego w Grodziską. W protokole odnotowano, że zastępca „przy upadku wybił zęby i odniósł ciężkie potłuczenie nogi, a Komendant Powiatowy MO odniósł lekką kontuzję prawej ręki”.

### 15 października 1945 r.

Żołnierz rosyjski zaczął milicjantów z Posterunku MO w Wielichowie. Wywiązała się sprzeczka i Rosjanin wezwał pomoc. Przybiegło pod broń kilku żołnierzy, którzy „obezwładnili Zastępcę Komendanta MO, odbierając mu motocykl, pistolet i legitymację służbową”.

### 16 października 1945 r.

Rosyjska ciężarówka o godz. 20.00 przejechała rowerzystę Stanisława Ratajczaka. Ofiara wypadku zmarła dziesięć minut po przewiezieniu do Szpitala Św. Zofii. Sprawca zbiegł. Przeanalizowano ślady kół i stwierdzono m.in., że „tor wykazuje umyślne najechanie”.

Kapitan Jan Gutorski z II Armii Ludowego Wojska Polskiego, który był komendantem Rejonowej Komendy Uzupełnień w Kościanie, broniąc swoich żołnierzy, znokautował i rozbroił oficera z rosyjskiej komendy powiatu kościańskiego. Rosjanie nie zgłosili pretensji. Nadgorliwością wykazała się bezpieka. Z raportu szefa PUBP w Kościanie: „Ukończono śledztwo przeciw kapitanowi Gutorskiemu – komendantowi RKU za pobicie rosyjskiego oficera; sprawa przekazana została do Wojskowego Prokuratora w Poznaniu”.

### 26 października 1945 r.

Funkcjonariusz Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kościanie - Kazimierz Kotowski, podejrzany o współpracę z leśnymi grupami Armii Krajowej, aresztowany dziewięć dni wcześniej z polecenia szefa PUBP, zbiegł z aresztu i zasilił oddział „Kościszki”, był nawet przez jakiś czas jego dowódcą. Później przedostał się na Zachód. Według ustaleń UB został właścicielem restauracji w jednym z dużych miast Republiki Federalnej Niemiec.

### 2 listopada 1945 r.

W Śmiglu aresztowano przedwojennych działaczy narodowych adwokata Jerzego

Gronowskiego i Ewarysta Piotrowskiego pod zarzutem udziału w tajnej organizacji zbrojnej „Warta”, zmierzającej do „zmiany przemocą demokratycznego ustroju Państwa Polskiego”.

**16 listopada 1945 r.**

„Kto w Boga wierzy, ten do AK należy – taki napis pojawił się w ubikacjach Państwowego Gimnazjum i Liceum im. św. Stanisława Kostki w Kościanie. Donos złożyła uczennica klasy maturalnej, zaprzyjaźniona blisko z funkcjonariuszem UB.

**26 listopada 1945 r.**

Sekcja III Powiatowego Urzędu Bezpie-

czeństwa w Kościanie w raporcie służbowym zmodyfikowała tekst napisu, który ukazał się dziesięć dni wcześniej, na następujący: „Kto w Boga wierzy, ten do AK należy, PPR – płatne pacholy Rosji, Bezpieka – GPU”.

**2 grudnia 1945 r.**

W Kościanie znaleziono ciało 27-letniego kapitana Armii Czerwonej Aleksego Ponomatowa. Wszczęto śledztwo. Bezpieka odnotowała: „Kapitan cieszył się wielkim uznaniem i był odznaczony medalami za zasługi na polu walki z faszystowsko – hitlerowskimi Niemcami”.

**5 grudnia 1945 r.**

Zbiegł z aresztu UB Wojciech Dembiński z Kościana podejrzany o przynależność do organizacji „Warta”, o czym powiadomiono Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu.

**6 grudnia 1945 r.**

Z polecenia Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu, aresztowano w Śmigłu narodowca Wawrzyńca Judka, podejrzanego o przynależność do konspiracyjnej organizacji „Warta”.

**JERZY ZIELONKA**

## Szkółka (2)

**W**ęgry to był inny świat, którego istnienia w tamtych czasach nawet nie podejrzewałem. Kąpiel w rwącym nurcie Dunaju i na wyspie Małgorzaty w basenie z wywoływany sztucznie falami, wycieczka na najwyższy szczyt Węgier – Kekes, gdzie dotarliśmy prawie, że bezpośrednio autokarami, i spotkana tam starsza Polka. Była ze swoim węgierskim mężem i jej łyzy na dźwięk polskich słów... Spust surówki w hutach Stalinaros, dziś to chyba Dunaujvaros, taka ichnia Nowa Huta, żar, snopy iskier, to znowu zwiedzanie węgierskiego parlamentu, jeszcze do dziś wywołuje mój uśmiech uczucie dumy, jakie rozpiekało mnie, gdy pozwolono mi dotknąć poręczy czy też oparcia fotela, w którym zasiadał Matyás Rákosi. Dopiero następne lata przyniosą wiedzę, że to krwawy wielbiciel i Stalina, i „polityki salami”. Góra Gellerta ... wiele przyjaźni i znajomości to rzeczy, których zazwyczaj chłopcy tamtych lat z ulicy Poznańskiej nie doświadczali i wszystko to zawdzięczałem Pani Krystynie Polak ...

Jeszcze jedno wspomnienie, bodajże z Cieplic. Siedziałem gdzieś na szczycie pałacowych schodów, w dole instruktor tańca, przedniej zresztą marki, poprosił czy też nakazał, ażeby Zosia coś tam z kimś zatańczyła. I wtedy jej słowa, że tańczy tylko ze mną. Myślę, że to był mój największy, jako faceta sukces.

Ale, miało być o Pani Kierownik Polak. Sięgając pamięcią myślę, że jeszcze większą jej pasją, aniżeli zespół, była mi-

łość do zwierząt. Zawsze w domu Państwa Polaków były psy. Chodziły po szkolnym podwórzu, jako pełnoprawni jego użytkownicy. Któregoś dnia zakończył ziemską wędrówkę, pies zwący się „Cap”, podobny, może mieszaniec, do charta afgańskiego, nie tak jednak smukły – łagodny i pełen poczciwości spoczywał na kocu, ze łzami w oczach nieśliśmy go pod dowództwem Pani Kierownik, i grzebali na jednym z mostków, na polach ciągnących się w kierunku Kurowa. Utkwiło to gdzieś we mnie, i tak właśnie grzebałem później wszystkich moich czworonożnych przyjaciół.

Miłość Pani Polakowej do zwierząt sięgała czasem ... No nie, muszę podać przykłady. Jakiegoś razu w czasie lekcji polskiego, przez klasowe okno zaobserwowałem taką scenkę. W piasku drogi prowadzącej na „wiatraki” ugrzązł wyładowany workami ze zbożem konny wóz. Szkapina nie dawała rady. Równie wątył chłopina raz po raz ciął ją batem. Nic nie pomagało. Wóz tkwił w miejscu jak czarowany. Zauważyła to i Pani Polakowa. Krzyk, trzask drzwi i kruczoczarne Jej włosy podnoszone biegiem, hen, gdzieś tam w górę, prawie, że pod niebo. Po sekundach chłop nie miał już bata, jego resztki poniewierały się w piasku drogi, i tak miał szczęście, że nim nie dostał, może tylko z tego powodu, że besztany, stał skruszony, ze spuszczoną głową. Po chwili, koń, wyprzęgnięty, szedł jakby zadowolony obok wozu, a my równie zadowoleni pchaliśmy go, wóz oczywiście, z powodzeniem aż pod wiatrak Jana Kostańskiego.

Innym razem Kierownik Polak ogłosił, oczywiście pod wpływem żony, że ponieważ przyleciały wiosenne szpaki i zagnieździły się na drzewach wokół Szkółki, a w czasie przerw są płoszone, a więc ażeby tego uniknąć ... znosi się przerwy, a dzieciaki mają na początku i końcu szkolnego dnia wchodzić do klas spokojnie i cicho.

Te szpaki. Pani Kierownik, nie raz zachęcała mnie do czytania. Wypełniałem wszystkie Jej polecenia, a więc także i to. Jakiegoś tam razu podsunęła mi powieść Dmitriowa: „Szpak, ptak wiosenny”. Po przeczytaniu, także pod Jej namową, wziąłem udział w konkursie czytelnictwym. Napisałem swoją pierwszą w życiu recenzję. W nagrodę zaproszono mnie do Poznania. W jakimś tam momencie uroczystej celebry z zakończenia konkursu, zapytano jej uczestników, którego pisarza chcieliby gościć. Kilkadziesiąt głosów wrzasnęło: Janinę Broniewską. Dziś myślę, że była to inscenizacja i mistyfikacja od dawna przygotowywana. Nie zmniejsza to jednak, w najmniejszej nawet mierze pamięci mego wzruszenia, gdy z pierwszego rzędu podniosła się starsza pani. To była właśnie Janina Broniewska. Pierwsza pisarka, którą dzięki Pani Kierownik miałem możliwość osobiście zobaczyć, ba, co więcej dostać z autografem jej noszącą tytuł książkę „Ogniwo”. Nic, że był to, jak w wiele lat później odkryłem, socrealistyczny gniot, nie będę się zapierał, stoi w mojej bibliotece na czółowym, na najbardziej pieczołowicie pielęgnowanym miejscu. I po



▶ latach, gdy czytałem wiersz Broniewskiego, przecież nie tylko rewolucyjnego poety, ale i twórcy przepięknych liryków – „Twój walet schnie z miłości, a ty go darzysz wzgardą ...”, wiersz poświęcony Janinie Broniewskiej, wystarczyło, że przymknąłem powieki, a starsza pani już podnosiła się z pierwszego rzędu...

Jakieś znowu zimowej niedzieli, Pani Kierownik z okien swego mieszkania dostrzegła, jak po śnieżnym polu posuwa się „tyraliera” myśliwych koła Łowieckiego „Knieja”. Ośmielili się polować na zające. Nie długo trwało, jak Pani Kierownik wszcząwszy piekielną awanturę pogoniła ich. A ponieważ członkiem „Kniei” był i Łowczy Powiatowy pan Matysiak, mieszkający tuż przy krzyżu na Poznańskiej, to na dzień następny Szkółkę opuścić musiała chodząca do niej jego córka Mirosława. Całe uzasadnienie brzmiało „Córka mordercy zwierząt nie może chodzić do naszej szkoły”.

O obowiązkowym dokarmianiu nie ma już co nawet wspominać. Zapamiętałem tylko, swoje przerażenie, gdy w naszej biedzie udało mi się wyprosić od Mamy ćwiartkę zeschniętego już bochenka chleba i rozrzucić jego okruchy tuż za płotem ogrodu pani Frąckowiakowej. Przyleciało olbrzymie stado wron i po chwili, wręcz po sekundach, skończyło się moje dokarmianie ... Nie było już z takim trudem wyżebranego chleba.

Czy w tej miłości Pani Polakowej do zwierząt nie było przesady i odrobiny egzaltacji? Oczywiście, że tak. Ale ... Co więcej uważam, że była ona w tamtych czasach nadzwyczaj potrzebna. Pies przecież, każde zresztą zwierzę, traktowane było wtedy tylko i wyłącznie użytkowo. A dziś, idąc czasem na spacer, wzdłuż kanału, i nie widząc na kielczewskich polach, tak powszechnego gdzie indziej obrazu, psów wiązanych przy blaszanych beczkach, bez krztyny zresztą wody, myślę sobie, że to zasługa Pani Kierownik, że to jej wychowaniu, i zawartej w nim tej właśnie odrobiny egzaltacji, zwierzęta tej wsi zawdzięczają poprawę swego losu. Wpływają na niego przecież ówczesni Jej wychowankowie. I ich dzieci, i wnuki ...

Pani Kierownik. Nie bardzo pasująca do ówczesnego Kielczewa czy Kościana. Nie pasująca osobowością, wiedzą, upodobaniami, swoim wreszcie losem do tej specyficznej prowincji

i zaściankowości. Może choć trochę o ubiorze. Myślę, że była piękną kobietą. Zadbaną w każdym calu. Postrzegam ją jeszcze mimo upływu lat, jak w delikatnym, ciemno czerwonym, wełnianym, tak to się chyba nazywa, kostiumie przechadza się po ogrodzie znajdującym się na zapleczu szkoły. Była jedyną, znaną mi kobietą, chodzącą w spodniach. Kierownik Szkoły tamtych czasów to był facet, bez zaproszenia którego nie mogło się odbyć żadne wiejskie wesele. Być może, że jest tak i dziś, nie wiem tego. Wątpię jednak ażeby tak było. Deprecjacji uległo i nauczycielskie powołanie, i kierowanie szkołą. Kierownika Polaka proszono jednak na każde, które miało wtedy miejsce w Kielczewie. Pan Kierownik zawsze szedł. Jego żona nie była chyba na żadnym. Drażniła ją wiejska wesołość. Drażniły ją wielkopolskie obyczaje. Pamiętam, jak oburzała się, a może i wyśmiewała, ze zwyczaju zatrzymywania sznurkiem weselnego korowodu wracającego z kościoła. Dziś, gdy o tym myślę w pełni ją rozumiem. Także sprawia mi przykrość obowiązek bywania na weselach. Drażni mnie ich sztuczna wesołość, specyficzny rodzaj, rubasznych i na jeden zresztą temat, jaki wiadomo, żartów i kawałów. Ubolewam też, że najczęściej nie stać mnie, na odmowę w nich uczestniczenia.

Myślę, że czas okupacji, jego dole i niedole, pozostawił po sobie trwałe ślady w życiu Pani Kierownik. Podśluchałem, jak po powrocie z jednej z wywiadówek, Mama opowiadała Ojcu, jak tamte lata wspominał Pan Wojciech Polak. Z szeptów rodziców wyłaniała się opowieść o poniewierce i ukrywaniu się małżeństwa Polaków, na przełomie 1944/1945 roku, na południu, w okolicach Jasła. A Pani Kierownik była wtedy w ciąży, wysoko zaawansowanej, bo przecież, mój przyjaciel, profesor dr hab. Bogusław Polak, owoc miłości tych dwojga wspaniałych ludzi, urodził się 3 stycznia 1945 roku. Cóż wtedy musiała przeżywać, łatwo sobie wyobrazić ...

Życia Pani Kazimiery Polak na kościańskiej prowincji nie ułatwiało i to, że była drugą żoną Wojciecha Polaka. W ząbkiej atmosferze obłudy zaściankowości tamtych lat musiała to prowokować i wywoływać sensację. Myślę, że nie mam najmniejszej legitymacji ażeby publicznie roztrząsać te sprawy ...

Nieubłagany czas zatarł w mej pamięci nazwiska i imiona większości moich ówczesnych koleżanek i kolegów. Niektóre twarze jednak pozostały. Stasiu Bartko-

wiak mieszkający na Gostyńskiej tuż przy torach, śliczna koleżanka Maćkowiak spod lasu w Kurzejgórce, Sobkowiak, Józek Łukaszczyk z samego końca Kielczewa, Szafranek z Grodzkiej, małe jego mieszkanie i mama, tak jak moja, schylona nad maszyną do szycia, Sewercia Jankiewicz z Kielczewa, Wower z Poznańskiej ...

W tamtych latach uczyli także w tej małej ni to wiejskiej ni miejskiej szkole pan Rabczewski, mój wychowawca w starszych już klasach. Mieszkał, chyba wynajmując pokój, tuż przy cmentarzu staroparafialnym, w urzędniczych blokach przy ul. Ks. Bączkowskiego. Zawsze starannie ubrany, spodnie zaprasowane w przepisowy „kant”, brązowe buty, lśniąco rzadko spotykanym połyskiem, fryzura z fantazyjnym lokiem, trochę nieprzystępny, pełen jakiejś takiej uroczystej celebry, przynależnej nauczycielowi tamtych lat... Jeszcze dziś zadziwia mnie na moich szkolnych świadectwach podpis Pana Rabczewskiego, staranny w każdej swej literce, pełen godności tak jak i ten który go składał, a równocześnie pełen fantazji.

Pani Bartkowiakowa ucząca także języka polskiego. Uwielbiałem jej lekcje. Usystematyzowane i uporządkowane, odkrywające nowe przestrzenie i całkiem inne światy. „Otworzyć dzieci zeszyty. Piszemy życiorys Henryka Sienkiewicza”. I bazgraliśmy te życiorysy, Mickiewicza, Słowackiego, Prusa i Żeromskiego. Coś wspaniałego...

Pani Olga Irzabek ucząca języka rosyjskiego. Żona zamordowanego na Rynku przez Niemców dyrektora kościańskiego ogólniaka. Przeżywana przez nas „Babuszką”. Gwar niesfornych dzieciaków, a w jego tle „Ptica latajet, ptica igrajet...” Nikt się tym nie przejmował. Na rezultat tego nie musiałem długo czekać. W pierwszej klasie szkoły średniej, tuż po rozpoczęciu roku szkolnego, „Stefa”, pani profesor Fórmanowicz zrobiła sprawdzian. „Diktówkę”, taką na półторы strony. Dostałem dwójkę z bodaj pięcioma minusami. Każdy minus to dziesięć błędów. Dziś, gdy słucham Marka Jurka, że walczył komuną w ten sposób, że nie uczył się języka rosyjskiego, to myślę, że powinienem otrzymać przy takim kryterium, wszelkie możliwe i to najwyższe odznaczenia (cdn)

**ZDZISŁAW WOJTCZAK**